



dbi do

222,786

El... y

I

POEZYE,

I.

Asmyk Adalce

WYDAWNICTWA KSIĘGARNI GUBRYNOWICZA I SCHMIDTA.

| | zl. c |
|--|-------|
| Dr. Antoni J. Nowe opowiadania, wydanie drugie | 3 |
| — Opowiadania historyczne, 1 tom | 3 |
| — Gawędy z przeszłości, 2 tomy | 5 |
| — Opowiadania historyczne. Serya VI | 3 |
| Feliński X. S. Z. Wiara i niewiara w stosunku do szczęścia osobistego | 3 |
| — Paulina Córka Ewy Felińskiej | 2 |
| Kalina Dr. Antoni. Rozbiór krytyczny pieśni »Bogarodzica« | 1 |
| Kantecki K. Elżbieta, trzecia żona Jagielly | 1 |
| — Dwaj Krzemieńczanie. Wizerunki literackie 2 tomy | 3 |
| Kraszewski J. I. Król i Bondarywna, powieść historyczna | 2 |
| — Nad modrym Dunajem, Nowella | 2 |
| — Dajmon Fantazyja | 2 |
| — Pan z Panów, sceny z życia | 2 |
| — Złoto i błoto. Powieść współczesna, 3 tomy | 5 |
| Sass Berlicz. Mozaika Gawędy szlacheckie, 2 tomy | 3 |
| Wilczyński A. Misya familijna. Opowiadanie | 2 |
| — Wspomnienie obywatelskie, 1880 | 2 |
| — Medytacye kawalerskie | 2 |
| — Z pamiętników plotkarza, 2 tomy | 4 |
| Wilkońska Paulina. Na teraz, powieść | 2 |
| — Powołanie, powieść, 2 tomy w jednym | 2 |

BIBLIOTEKA POLSKA.

- Każdy tom brosz. 1 zlr. 80 ct., w opraw.
- T. 1—2. **Kraśniński 2.** Pisma. Wydanie z przedmową Stanisł. hr. Tarnowskiego, 2 tomy.
 - 3—6. **Mickiewicz Adam.** Dzieła. Wydanie zupełne przez dzieci autora dokonane, 4 tomy.
 - 7—10. **Zaleski B.** Poezye. Wydanie przejrzone przez autora.
 11. **Pamiętniki Paska.** Wydanie nowe krytyczne, przejrzone przez dra. Węclewskiego.
 12. **Niemcewicz J.** Jan z Tęczyna. Powieść histor.
 - 13—16. **Słowacki Juliusz.** Dzieła. Wyd. przejr. przez prof. dra. A. Małeckiego.
 - 17—19. **E...ly, (Asnyk Adam.)** Poezye. 3 tomy.
 - 20—22. **Małecki A.** Życie i pisma Juliusza Słowackiego, wydanie drugie znacznie pomnożone, 3 tomy.
 23. **J. Wybioki.** Pamiętniki.
 - 24—25. **Mickiewicz A.** Dzieła 5—6.
 - 26—28. **Mickiewicz A.** Korespondencya, 3 tomy.
 - 29—31. **Kitowicz X.** Pamiętniki i pisma historyczne, 3 tomy.
 - 32—33. **Kitowicz X.** Opis obyczajów i zwyczajów za panowania Augusta III., 2 tomy.
 - 34—37. **Romanowski M.** Pisma. 4 t.
 - 38—39. **Słowacki J.** Listy, 2 t. wydanie 2. znacznie pomnożone.
 - 40—42. **Słowacki J.** Pisma pośmiertne 3 tomy, wydanie 2. znacznie pomnożone.
 - 43—44. **Kraśniński.** Pisma 3—4.
 45. **Kraszewski J. I.** Poezye.

„DZIEŁA ADAMA MICKIEWICZA“.

Najtańsze ze wszystkich dotychczasowych

Wydanie stereotypowe ułożone w chronologicznym porządku według wskazów

Prof. Dra A. Małeckiego.

Cena 4 tomów zbroszurowanych 4 zlr. 60 cnt.,

w oprawie w płótno 6 zlr., ze złotemi wyciskami 6 zlr. 60 cnt.,
z przesyłką pocztową o 40 cnt. więcej.

dbl do

222796

POEZYE

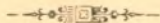
I

PRZEZ

EL...Y.

I.

Wydanie piąte.



LWÓW,

Nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta.

1888.

8064



66068

Wyłączono z zasobu
Biblioteki Jagiellońskiej

Kraków. — Druk Wł. L. Anczyca i Spółki,
pod zarządkiem Jana Gadowskiego.

Bibl. Jagiellońska
1972 D 111

RODZICOM SWOIM

POŚWIĘCA

AUTOR.

PUBLICZNOŚĆ I POECI.



Publiczność do Poetów.

Wiecznie śpiewacie na tę samą nutę!
Śpiewacie rozpacz dziką i bezbrzeżną,
Serca przedwczesną goryczą zatrute,
I melancholią mglistą a lubieżną,
Senne miłości szpilkami przekłóte,
Rany zadane jedną rączką śnieżną,
I omijacie skrzętnie każdą radość —
Strojąc się w duchów księżycową bladość.

Po tysiąc razy te same westchnienia
Szlecie do oczu niebieskich lub czarnych,
Do drobnej nóżki, krągłego ramienia
I różnych kształtów mniej lub więcej zdarnych,
I umieracie jak Tantal z pragnienia
Pełni poświęceń i bohaterstw marnych,
A choć się który czasem w rymie potknie
To jednak lubej ręką swą nie dotknie.

Zawsze ach ona! z tą twarzą cudną
 Serca wam bierze na straszne tortury,
 Spojrzy się... przeżyć jej spojrzenie trudno!
 Odwróci oczy... świat się kryje w chmury,
 Wszystko stracone, ona jest obłudną —
 Dokoła ciemność i smutek ponury!
 I nie zostaje nic... o srogi losie!
 Jak ginąć w mękach na sonetów stosie.

Wiecznie te same klęski bezprzykładne,
 I te piękności boskie, nadzwyczajne,
 Te bujne włosy, te ruchy układne,
 Różane usta, słodkie, życiodajne,
 Te oczy pełne miłości a zdradne,
 Które wyczerpał brylantowy Heine,
 Te brwi, te rzęsy, te perłowe zębki,
 Te kwiaty w włosach i szat białe rąbki.

I pełno wszędzie słów pieszczonych szmeru,
 Co płyną jako śpiewne wodospady,
 I pełno woni zbyt słodkiej eteru,
 Pełno lamentów, zniszczenia, zagłady,
 Zmarnowanego życia i papieru,
 I potępieńców pośmiertnej biesiady...
 Co wszystko snuje się z jednego wątką,
 Z kapryśnej pozy ładnego dziewczątka.

Dosyć już mamy tych rozkoszy dreszczów,
 I tych uśmiechów niby ironicznych,
 Błdych księżyców, mgły i krwawych deszczów.
 Niezrozumiałych potęg demonicznych,
 Dosyć już mamy tych łabędzich wieszczów,
 Którzy konają w bólach ustawicznych
 I tych ubóstwień, rozanielen, szataństw,
 I tym podobnych rymowych szarlataństw!

Co nam do tego że wam bohaterki
 Przysięgną miłość a potem was zdradzą?
 Zapewne są to dość znaczne usterki,
 Lecz wartoż za to świat malować sadzą?
 I wulkaniczne puszczać fajerwerki,
 Co się nikomu na nic nie przydadzą?
 Wam się to piękne zdaje w waszym rymie,
 A my się za to musim krztusić w dymie.

Miłość jest piękną bezwątpienia rzeczą,
 I ma w poezyi stare jak świat prawa —
 Lecz trzeba, żeby miała twarz człowieczą,
 Żeby tryskała życiem jej postawa:
 Śmieszna się staje gdy ją okaleczą
 I kiedy wyjdzie wybladła i krwawa.
 Coby ach! na to Afrodyte rzekła:
 Gdyby widziała was i wasze piekła!

Nie zrozumiałaby zapewne wcale,
 Że przemawiacie miłości językiem,
 Widząc was w jakimś Orestowym szale,
 Z spojrzaniem błędnem, pochmurnem i dzikiem,
 Na samobójców chwiejących się skale,
 Uragających niebu wykrzyknikiem...
 Pewnieby pierś swą zasłoniła twardą
 I porzuciła was z gniewem i wzgardą.

Wprawdzie dziś ona, ta naga, ta grecka!
 Złej już opinii na świecie używa —
 Sentymentalność górą dziś niemiecka,
 Co się w mgłach kąpie i we mgłach rozplywa,
 I cała młodzież porządna, kupiecka,
 Przed jej posągiem oczy swe zakrywa
 I marzy wsparta na łokciu w sklepiku —
 O idealnym bardzo kaftaniku.

Wiemy że trzeba kształty posągowe
 Wypełnić wyższem technieniem ideału,
 Na nagi marmur rzucić światło nowe,
 Moc czarodziejską dać pięknemu ciału;
 Wierzymy także w zachwyty duchowe,
 Ale nie chcemy wiecznego rozdziału
 Pomiędzy duchem nieschwyconym w locie —
 A biednem ciałem, co się tarza w błocie.

Chcemy tej zgody, harmonii i ciszy,
 Która piękności pierwszym jest warunkiem,
 Chcemy tych dźwięków, które każdy słyszy
 Na swoich ustach drżących pocałunkiem,
 Ale nie wrzasku szalonych derwiszy,
 Co upojeni narkotycznym trunkiem,
 Kręcą się w kółko bez tchu i pamięci
 I myślą, że to świat się cały kręci.

Chcemy tych natchnień, coby w życia zdroju
 Ukazywały nową piękną stronę,
 Któreby naprzód biegły w każdym boju
 Pokrzepiać serca słabe lub zmęczone,
 Coby rzeźbiły w klasycznym spokoju
 Dumne postacie, wawrzynem wieńczone,
 I podnosiły wszystkie ludzkie cele,
 Zdrowe pragnienia budząc w zdrowem cielem.

Lecz wy, księżycu kochankowie smutni,
 Nie macie na to w piersiach dosyć siły!
 Każdy z was wsparty na złocistej lutni,
 Wpół pochylony do ciemnej mogiły,
 Słucha z przestraczem dzikiej wichrów kłótni,
 Nucąc o widmach, co mu się przyśniły,
 A że ma głosik łagodny i cienki,
 Lubią go słuchać młodziutkie panienki.

Przez to zyskuje do wielkości prawo,
 I na miłostkach, jako wieszcz, wyrasta,
 Spogląda łzawo i śmieje się krwawo,
 Bo już go chytra zdradziła niewiasta.
 Pogardza światem, nauką zabawą,
 Tylko się gorzko uśmiecha i basta —
 I poemata pisze ironiczne,
 Bardzo piekielne, choć niegramatyczne.

Ironia wprawdzie ma swój wdzięk oddzielny
 I może zasiąść na Parnasu szczycie;
 Dużo jest prawdy w śmiałości bezczelnej,
 Dużo piękności w jej bolesnym zgrzycie,
 Gdy się na przedmiot targa nieśmiertelny,
 Widząc, że wcielić nie zdoła go w życie,
 Lub gdy odkrywa serc ludzkich sprzeczności
 I śmiechem godzi dwie ostateczności.

Ale ironia, o panowie mili!
 To nie gra w piłkę przyjemna i łatwa,
 Któraby mogła zawsze, w każdej chwili,
 Bawić się z szkoły wychodząca dziatwa;
 Ten jeszcze Heinem nie jest, kto się sili
 Śmiać się i płakać, i w rymie pogmatwa
 Dużo utartych wyrażeń cynizmu,
 Z romantycznego wziętych katechizmu.

Dlatego radzim wam, wieszczowie nasi,
Niech wasze Muzy w locie swym odpoczną;
Niech się z was żaden nie dręczy, nie kwasi,
Ani też skacze w otchłań zwątpień mroczną
Dla tej niewdzięcznej Maryni lub Kasi,
Niechaj nie pędzi w przestrzeń nadobłączną
Roztrącać gwiazdy... bo nam tchu nie staje
Zdążyć za wami w tak dalekie kraje.

Chciejcie być skromni, zrozumiali, prości,
Panujcie myślą nad słuchaczów gminem,
I budźcie w sercach pragnienie piękności;
Niechaj pieśń wasza będzie dobrem winem,
Coby nas mogło zagrzewać w starości,
Lecz nie szukajcie kłótni z Apolinem,
I gdy was rada nie powstrzyma nasza —
Wspomnijcie sobie losy Marsyasza!

Poeci do Publiczności.

Z pokorą nasze pochylamy głowy
Przed twoim sądem, o publicko gniewna!
Bo chociaż wyrok bezwzględnie surowy,
Jednak jest słusznym w gruncie, to rzecz pewna,
I przyznać musim, że nasz chór harfowy,
I nasza nuta szpitalno-cerkiewna
Z całym przyborem schorzałej fantazyi,
Jest dziś najgorszym rodzajem inwazyi.

Po zgasłych wieszczach w ręce słabe drżące,
Wzięliśmy lutnie, w których pieśń czarowna
Spoczywa w tonów ubrana tysiące,
Boleścią całych pokoleń wymowna.
Smutno nam słyszeć te echa mdlejące,
Smutno nam wiedzieć, że ta moc cudowna,
Potrząsająca niegdyś ludzi tłumem.
Nierozumiałym stała się dziś szumem.

Straszno nam strun tych dotykac natchnionych,
 Co się prężyły jako serca żywe,
 Co miały siłę rozbudzać uśpionych,
 I smagać biczem umysły leniwe,
 Straszno nam stanąć wobec tych zniknionych,
 Rozrzucających piękności prawdziwe,
 I pieśń podnosić wśród gawiedzi syków,
 Pieśń przygnębionych wstydem niewolników.

Znamy swą niemoc, węża co nas dławi,
 I opasuje w swe skręty potworne,
 Znamy ten obłąd, co nas zwolna trawi,
 I z piersi dźwięki dobywa niesforne,
 Wiemy, że śmieszni jesteśmy, choć łzawi,
 I tak bezkształtni, jako mgły wieczorne,
 Ale uznając wszystkie nasze winy,
 Chcemy wam złego odsłonić przyczyny.

Jesteśmy dziećmi wieku bez miłości,
 Wieków bez marzeń, złudzeń i zachwyty,
 Obojętnego na widok piękności,
 A więdnącego z nudy i przesyty,
 Wieków, co wczesnej doczekał starości,
 Sam podkopawszy prawa swego bytu,
 Wieków, co siły strwonił i nadużył,
 Nic nie postawił, chociaż wszystko zburzył.

Wzrosliśmy także wśród dziwnego świata,
 Co się zapalu i uniesień wstydzi,
 Co każdym wzniosłem uczuciem pomiata,
 I wszędzie szuka śmieszności i szydzi;
 Bawi go jeszcze arlekińska szata,
 Lecz ani kocha ani nienawidzi!...
 I to jest nasze największe przekleństwo:
 Otaczające nas dziś społeczeństwo!

Jego bezduszna, chłodna atmosfera,
 Już od kolebki duszę nam otacza,
 Dziewiczą barwę szyderstwem z niej ściera,
 Żadnej świętości marzeń nie przebacza;
 Nic więc dziwnego, że ogień zamiera,
 Że się fantazyja krzywi i wypacza,
 Bo tam gdzie w sercach bezmyślność i bierność,
 Krzewić się może jedna tylko mierność.

Każda epoka, co ze swego łona,
 Wydała pieśni potężnej olbrzymia,
 Nosiła wyższej idei znamiona,
 Pewien wzór piękna mając przed oczyma,
 I sama była miłością natchniona,
 Drżąca jak lutnia, którą śpiewak trzyma,
 I on dla tego wielkim być nie przestał,
 Że miał słuchaczy serca za piedestał.

On zbierał tylko marzenia tęczowe,
 Które duch ludu z piersi swej wysnuwał,
 Tylko im polot dawał i wymowę,
 Ujmował w kształty i w przyszłość posuwał,
 Więc kiedy stworzył potężną budowę,
 Każdy jej wielkość i prawdę odczuwał,
 Bo znalazł wszystko tam ubrane w ciało
 Co w jego piersi niewyraźnie tlało.

Potrzeba było młodzieńczego wieku,
 Pełnego ognia, wrażeń i prostoty,
 Wykarmionego na cudownem mleku,
 Zbrojnego w wszystkie bohaterskie cnoty;
 Potrzeba było, ażeby w człowieku,
 Wykwitła siła nadziemskiej istoty,
 Co dumnym czynem w niebiosa się wdziera,
 Ażeby wydać ślepego Homera!

Potrzeba było dla niego tych czasów,
 W których lud cały w pieśni rozkochany,
 Słuchał jej chciwie wśród laurowych lasów,
 I uzupełniał wątek podsłuchany.
 I kiedy z długich pokoleń zapasów,
 Snuł się poemat wielki, niezrównany.
 I gdy bohater i twórca rapsodu,
 Zarówno byli chluba dla narodu!...

I zawsze w wieków minionych pochodzie,
 Z duchem społeczeństw szli śpiewacy w parze,
 Co zakwitało w ludzkości ogrodzie,
 To pieśń na swoje przeniosła ołtarze.
 Grek hołdujący jasnych bóstw urodzie,
 Znalazł swój liryzm pieszczony w Pindarze,
 A ile ognia tłało w jego łonie,
 Tyle rozkosznych brzmień w Anakreonie.

Tak samo znowu, gdy po nocy długiej
 Świat się odmłodził wiarą i krwią nową,
 Gdy barbarzyńskiej ciosami maczugi,
 Zgruchotał całą przeszłość posagową,
 Kiedy cudownie odżył po raz drugi,
 Z całą fantazyą, świeżą, silną, zdrową,
 Zaraz zaświecił podwójnym brylantem,
 Wdzięcznym Petrarcką i surowym Dantem.

Szekspir gdy stanął na dramatu szczycie,
 Miał pod nogami wielką ludzi wrzawę,
 Wybuchające namiętnością życie,
 Wielkie gonitwy o miłość i sławę.
 A Goethe zastał myśl ludzką w rozkwicie,
 Po złote runo wolności wyprawę,
 Żądzę zniszczenia ideałów szczytnych
 I uwielbienie wzorów starożytnych.

Lecz dziś gdzie znaleźć jaki sztandar wielki,
 Któryby porwał małoduszne zgraje?
 Wszechwładnej niegdyś cudów rodzicielki:
 Młodzieńczej wiary świat już nie wyznaje,
 Nikt się nie zwraca do tej karmicielki,
 Co sercom ludzkim wieczną młodość daje
 I nie zostało nic z anielskich wizyi,
 Prócz niedowiarstwa albo hipokryzyi.

Piętrzą się jeszcze gotyckie świątynie
 I wieżycami pną się między chmury,
 I dym kadzideł jeszcze w niebo płynie,
 I lud się modli zimny i ponury;
 Lecz nad tym jękiem, co bez echa ginie,
 Nie ulatuje anioł srebrnopióry,
 I w chore serca pociechy nie leje,
 I chłód śmiertelny z ciemnej nawy wieje...

Zabrakło wiary, zabrakło płomienia,
 Który ożywiał niegdyś mężów dawnych,
 Zabrakło cudów, zbrakło pokolenia,
 Co cud mieściło w piersiach w stal oprawnych;
 Dzisiaj choć widzimy smutne poświęcenia,
 Choć widzimy ludzi krwią swą marnotrawnych.
 Przecież to wszystko tak marnie opada,
 Jak kwiat, któremu wewnątrz robak zjada.

Miłość ojczyzny?... Ta dziś pustym dźwiękiem,
 Co nie brzmi wcale albo brzmi szaleństwem,
 Nasi mężowie śpiąc na łożu miękkim,
 Biją w dzwon trwogi przed niebezpieczeństwem,
 Gdy kto ten wyraz powie z cichym jękiem,
 I obrzucają swój naród przekleństwem,
 Za to że śmiał się targnąć na kajdany
 I drgnął na chwilę własną krwią oblany.

Miłość ojczyzny! To przedmiot zużyty,
 I pogrzebany z poległym rycerstwem,
 Starannie w trumnie gwoździami przybity,
 I przytrząśnięty pleśnią i szyderstwem,
 A nad nim klęczy postać jezuity,
 Co umarłego gorszy się kacerstwem,
 I lud poucza, że modna pobożność,
 Tę ziemską miłość uważa za zdrożność.

Miłość ojczyzny!... Staroświeckie tema,
 I rdzą grobowca zgryzione ze szczętem,
 Zewsząd mu krzyczą wielkie anatema,
 Pokryte słodkim świętoszków lamentem;
 Więc żeby wznawiać rzeczy, których niema,
 Trza być półgłówkiem, albo też studentem,
 I z Don Kiszotem błądzić po manowcach,
 By kruszyć kopie na spłoszonych owcach.

A dziś podobna marzeń wybujałość,
 Jest w naszym świecie wielce karygodną,
 Nasze powagi widzą w tem zuchwałość,
 Która być może w straszne skutki płodną,
 Przyznają wtedy pieśni doskonałość,
 Gdy jest jak oni bezbarwną i chłodną,
 I tak strzyżoną, jakby ogród włoski,
 Mając ucięte i myśli i głoski

Więc nie dziw, że nikt ręką swą nie sięga.
 Po ten skarb w lutni ukryty ojczystej,
 Dla martwych widzów — martwa to potęga,
 I może kruszyć tylko pierś lutnisty,
 I stać zamkniętą, jak ta czarów księga,
 Przez długie wieki w ciszy uroczystej,
 Póki epoka nie nadejdzie nowa,
 Godna odczytać jej cudowne słowa.

Cóż więcj znaleźć?... Sława?... tej nie mamy
 Wszyscy mniej więcej jesteśmy niesławni,
 I nosim znaczne na honorze plamy,
 Pod każdym względem zawsze niepoprawni,
 O czystą wielkość zwykle mało dbamy,
 I wtenczas właśnie jesteśmy zabawni,
 Gdy się stroimy w kawalek łachmanu,
 Co się nazywa dziś rozumem stanu.

Ten rozum stanu, wynalazek złoty!
 Lepszy niż jaki płaszcz nieprzemakalny,
 Pod nim bezpiecznie można szydzić z cnoty,
 I podkopywać przesąd idealny,
 Można ojczyźnie różne czynić psoty.
 I łuk w nagrodę dostać tryumfalny,
 Bo on zasłonić zdoła każdą sprzeczność,
 Wszelki egoizm, wszelką nedorzecznosc.

Istny talizman, który dobre wróżki,
 Roznoszą same jako płód krajowy,
 I polskiej szlachcie kładą pod poduszki,
 A ta się naraz budząc z bolem głowy,
 Na suchych wierzbach umie szczepić gruszki,
 I cycerońskiej nabiera wymowy.
 Tak więc, bez pracy, nauk i zachodu,
 Kraj się zapełnia gwiazdami narodu.

Przedmiot gotowy dla wieszczów przyszłości,
 Będzie go można w gładkie rymy włożyć,
 I parafialne pozbierać wielkości,
 I epopeję narodową stworzyć,
 Co pozostanie Iliadą śmieszności;
 Lecz my nie pragniemy owej chwili dożyć,
 I wolim raczej na swych lutniach drzymać,
 Niż próżny pęcherz powietrzem nadymać.

Cóż więc zostaje?... Pieśni erotyczne?
 Ale i dla tych braknie w świecie wzorów,
 Pogasły w piersiach ognie romantyczne,
 Pełne świetności i pięknych kolorów,
 A miłość cierpi suchoty chroniczne,
 I potrzebuje pomocy doktorów,
 Co podtrzymują jej zbyt wątłe życie.
 Przez różnych środków drastycznych użycie.

Nasze anioły i nasze kobiety
 Są w sentymenta ubrane po kostki,
 Lubią poezją zajadać na wety,
 I lubią także bawić się w miłości,
 Któżby wyliczył ich wszystkie zalety?
 Jednej im tylko brak jeszcze drobnostki,
 Prawdy w uczuciu... Lecz to rzecz zbyteczna,
 Nie modna dzisiaj — nawet niebezpieczna...

Tem, czem są teraz, nie wzniecą tej walki,
 Co się toczyła koło murów Troi,
 Żadna nie zginie z rąk swojej rywalki,
 Żadna się losów Julietty nie boi,
 Bo każda z wdziękiem norymberskiej lalki,
 W balowej sukni na wystawie stoi,
 I z pochyloną, rozmarzoną główką,
 Czeka na kupca, co płaci gotówką.

A Romeowie nasi nowocześni,
 Są jak z żurnalu wycięte figurki,
 Tacy bezduszni, tacy bezcieleśni,
 Że z nich zaledwie zostały tużurki,
 Które do taktu salonowej pieśni,
 Skaczą kadryle, walce i mazurki,
 Wzdychając przytem od czasu do czasu,
 Do dyamentów, gazy i atlasu.

Krew tam nie kipi purpurowym warem,
 I nie upiększa ciał swoim szkarłatem,
 Zmysły namiętym nieowiane czarem
 Nie zakwitają egzaltacyi kwiatem,
 A to co wschodzi, jest tak zwiędłym, starem,
 Tak arlekińskim i tak karłowatym,
 Że może służyć na pastwę dewotkom,
 Co się pobożnym poświęcają plotkom.

Ale dla pieśni niema tam oparcia:
 Tyle tam ziarna, co w pustym orzechu,
 Te straszne dzisiaj czułych serc rozdarcia,
 Na drugi tydzień goją się w pośpiechu,
 Do tragicznego zanim przyjdzie starcia,
 Cała tragedia kończy się na śmiechu,
 Zkąd i poezya nasza nosi znamię,
 Że jest szyderczą, gdy uczuć nie kłamie.

Trudno wymagać, by na takiej roli,
 Wytrysła natchnień prawdziwych obfitość,
 Trudno geniuszu żądać aureoli,
 Tu, gdzie się tuczy sama pospolitość,
 I trudno miłość śpiewać wśród swawoli,
 Co budzi tylko wzgardę albo litość,
 Trudno, ach! żądać dziś Anakreona,
 Kiedy świat cały na bezkrwistość kona...

Potrzeba śmiać się więc narówni z wami,
 I razem z wami nad przepaścią płaszać;
 Potrzeba kryć się ze swojemi łzami,
 I z własnych uczuć głośno się natrzęsać.
 Karmić się codzien skandalem, plotkami,
 Różować twarze i przechodniów kąsać,
 Wszystko szlachetne zdeptać, sponiewierać,
 Potrzeba śmiać się... śmiać się i umierać...

Jeśli nas teraz potępić pragniecie,
 Za naszą niemoc, nasze niedołęstwo,
 Za rozrzucone poetyczne śmiecie,
 Za skoszlawione pieśni czarnoksięstwo,
 Godzim się na to... Potępcie gdy chcecie,
 Przy was jest słuszność, przy was jest zwycięstwo
 Lecz tę rozważcie smutną okoliczność:
 Tacy poeci, jaka jest publiczność!

ODŁAMOWI PSYCHY PRAXYTELESA.

Psyche! ty stoisz w marmuru tunice,
Wiecznie niewinna, wiecznie zadumana,
Piers się nie wzdyma i nie chmurzy lice,
Lecz jak cię mistrza uwięziło dłuto,
Przetrwałaś wieki natchnieniem owiana —
I do białego marmuru przykutą
Kołysze przeszłość jakąś tęskną nutą.

Na przechylonej z melancholią twarzy,
Co czystych linii przyświeca profilem,
Żadna namiętność usiąść się nie waży —
I wzrok co trzymasz spuszczonej ku ziemi,
Najwyżej — gonić może za motylem,
Co ponad kwiaty przebiegał wonnemi
Przed chwilą wieków, — i znikł między niemi.

Ledwie rozkwitłaś w majowy poranek,
 Już zawstydzona kwiatem własnych marzeń,
 Kryjesz się, by cię nie zbudził kochanek —
 I zalękniona, niepewna i trwożna,
 Odsuwasz czarę niespokojnych wrażeń,
 I sercu swemu powiadasz — nie można!
 Na szelest liści mirtowych ostrożna.

Wolisz uwieczniać w dziewczęcej pogodzie
 Myśl jasną, co się błękitami żywi —
 I być odbiciem w ideałów zgodzie,
 Tej duszy świata, co senna przez wieki,
 Dziewiczych natchnień odbłaskom się dziwi,
 Przed żywszym światłem zamyka powieki,
 Zanim ją zbudzi kochanek daleki.

Kamienna sestro! przebudź się na chwilę,
 I sennych marzeń twoich treść opowiedz;
 Dziś sama jesteś na plemion mogile,
 A nie znać w tobie sierocej boleści,
 Tylko jak urna zdobiąca grobowiec,
 Która już żadnych popiołów nie mieści,
 Zostałaś pełna tajemniczej cześci.

Kiedyś spoczęła na milczącym głazie,
 Paryjskiej skały, inny świat cię witał,
 Byłaś dla niego jako dźwięk w wyrazie

Co nakreślony Praksytela ręką,
 Cały lud odczuł i w sercu doczytał:
 Bo jego niebios świeciłaś jutrzeńką,
 Odziana piękna plastyczną sukienką...

Więc z różanego Olimpu, jak dziecko
 Zstąpiłaś świadczyć idealnym marom,
 I wyobraźnię rozkołysaś grecką,
 Pieśnią słowicznych smutków i porywem
 Tych żądź nieznanych, co każą Ikarom
 Wiązać się skrzydeł anielskich ogniwem
 I nieśmiertelność mierzyć okiem cheiwem.

Wtedy wokoło tytaniczne bajki
 Liryzm w miękkości szatę poubierał —
 I ten kraj ducha lśnił się od mozaiki
 Promiennych bogiń, co na widzeń pianie —
 Gdy jaki nowy bohater umierał,
 Zakwitły żalem po zgasłym tytanie,
 Przyszłości wonne rzucając podanie.

O! wtedy jeszcze brzaski wieków srebrnych
 Nianczyły ziemię w kolebce lotusów,
 Chimery ludów, po ścieżkach podniebnych
 Biegały złotem i ogniem ziejące --
 A Epos oczy otwarła Argusów,

I by je łowić w zodyakach tonące,
Bellerofony wysyłała lśniace.

Życie się wtenczas przelewało hojnie
Nad ciasne brzegi wrzającej świata czary,
I ziemia z niebem w ustawicznej wojnie,
Z Prometeuszów korzysta rabunku,
I dzieli z niemi wieczność srogiej kary,
Aż w jakim długim, ciemnym obrachunku
Obie się strony zwały w pocałunku!

A z tych uścisków biegły nowe kształty,
Olbrzymie widma, pół bogi — pół karły,
I nowych wstrząśnień wulkaniczne gwałty,
Kruszyły dzikich gigantów granity,
Aż się nareszcie w jeden proch roztarły,
Te szalejące życiem Uranity,
A z mórz wytrysła tęczą Afrodyty.

Nastała cisza wschodzącej pogody,
Świat się już nagiął do harmonii duchów —
I zaludniły się Kastalskie wody
Orszakiem dziewic, co przy lutni złotej
Nuciły pośród wiosennych podmuchów
Te pieśni, pełne pierwotnej prostoty,
Co echem ciemne ożywiały grotty.

Poezya ciała weszła na tej niwie
 Jako kwiat pierwszy czarodziejskiej woni,
 I upajała się nią ludzkość cheiwie,
 Gromadząc wszystkie promienne natchnienia,
 W swojej młodzieńczej za pięknem pogoni,
 W jeden rytm — wiecznej rozkoszy pragnienia,
 Co ciała w jasne posągi zamienia;

I trzeba było uroczych obnażeń
 Dziewiczym wstydem wdzięcznych — przy nagości,
 Zmysłowej formy natchnionych wyrażeń,
 Gdzie życie zlało w poematu całość:
 Szlachetny kontur z ciepłem namiętności,
 A siła miękką podnosząc omdlałość,
 Rozkosznych wygięć uwieczniła trwałość.

Za każdym nowym kwiatem co się wcielił,
 Miłosnych legend powiewały wonie,
 I krzyk wesela w niebiosą wystrzelił,
 Gdy między mirty i rododendrony,
 Nad tajnych źródeł przeźrocyste tonie
 Biegły zbłąkane żądzą Akteony
 Boską Dyanaę ujrzeć bez zasłony.

W tem ubóstwieniu cielesnych rozkwitów
 Ubiegła rąco porankowa chwila —
 A ciała nie dość sączyły zachwyty,

Więc zapomniana w błękitnym eterze
 Dusza na skrzydłach zstępuje motyla,
 I na wygasłych pożądań kraterze,
 Stepionym zmysłom rzuca blaski świeże.

Psyche! tyś przyszła kończyć dzień stworzenia,
 Jak akord jednym wiążący łańcuchem
 Ciemnych zagadek bieg i przeznaczenia;
 Dziejowych zjawisk bezładne wyskoki,
 Co się być zdają męką i rozruchem,
 Zszeregowałaś w jeden nurt głęboki,
 Chwiejne narodów podpierając kroki.

Dobrze ci było pośród tego ludu
 Wypełnić żywych widzeń krajobrazy!
 I poplątane arabeski cudu
 Ująć w myślący porządek Etośu,
 I spocząć w głębi zielonej oazy,
 W pół przesłoniętej cieniami chaosu,
 W pół słuchającej własnych brzmień rozgłosu.

I nie dziw! wszystkie powtarzają struny
 Pieśń, co związała ludzkość jednym prawem:
 Platónskich marzeń lecą już zwiastuny,
 Błyszczące ogniem przeczutyh zapałów,
 I w przyszłość okiem wglądają ciekawem:

Kiedy się złoży z rozbitych kawałów
Spójnia walczących dotąd ideałów?

Ty słuchasz jeszcze, a tam śpiewne głosy,
Brzmiące miłością promiennej Hellady,
Leją się hymnem nad płonące stosy
Ległych obrońców, których liść laurowy
Przystraja w ogniach złocistej kaskady?
A te w białiznie leżą amiantowej.
Niby pomniki chwały narodowej.

Chwała i wolność, te dwa dźwięki złote,
Jako anioły w niebiosach się ważą,
I mlekiem karmią wielkich mężów cnotę,
Która zarówno z trybun, jak z oręża,
Do przyszłych wieków obraca się twarzą,
I wzrokiem smutne ciemności zwycięża,
W których zabraknie i cnoty i męża.

Wszędzie harmonia myśli, która władnie,
I bryły w jasny porządek układa. —
Lud tajemniczą piękność tę odgadnie,
Co formy lepi dla życia narodów,
Tyle z jej łona blasków powykrada,
Że przez daleki szereg epizodów
W przyszłość je rzuci — aż do antypodów.

Niech nad tą świtów słonecznych świątynią,
 Oko twe dłużej z miłością odpocznie,
 Kapłani twoi ślub odrodzeń czynią,
 Nieskończoności żądę i przeczucie
 W wszechwładną bytu zmieniając wyrocznie:
 Sokrates bogi postawił w zarzucie,
 I nieśmiertelność wypija w cykucie.

Tęskniąc za słońcem, które zwolna wstaje
 Ponad krwi ludzkiej morzem purpurowem,
 Zwróceniu wzrokiem w odgadnięte raje,
 Gdzie wstępu bronią ciemności anioły,
 Idą pokrzepiać życiodawczem słowem
 Łaknące pociech zgraże — apostoły,
 I dzień co przyjdzie zwiastują wesoly;

Ale nie nadszedł i królestwo ducha,
 Choć objawione cichym i prostaczkom
 Z Golgoty boskim płomieniem wybucha,
 Przecież w dalekich zawisło niebiosach;
 I tylko ziemskim pozostało płaczkom
 Na wieków marnie uwiedłych pokosach,
 W całopalenia odradzać się stosach.

Tęcze pogasły w dzikich zawieruchach,
 Harmonią stłumił tętent barbarzyńców,
 I myśl stanęła pod pręgierz w łańcuchach;

Na mętnej fali wichrem gnane hordy
 Spłynęły burzą śród ziemskich gościńców,
 Wstrząsając grzmiące przewrotów akordy,
 I niosąc trwozę na zasiew i mordy.

Na gruzach nowe życie się zieleni,
 I świeże kwiaty kwitną na cmentarzach,
 Biorąc swe barwy zpod ruin kamieni;
 Skrzydlate widma z czarnych wstają lochów,
 A zakochane w namiętnych grabarzach,
 Uczą ich stąpać śród dziejowych prochów,
 Bez próżnych złudzeń, lecz i bez popłochów.

Tyle lat zbiegło i Furyńskie wrzosa *)
 Miały czas wyschnąć pod niebem południa,
 A ludzkość kroczy wciąż przez krwawe rosy,
 I wciąż od celu swojego daleka;
 Przeszłość się duchy smutnemi zaludnia,
 Których żałobny hufiec tęsknie czeka,
 Kiedy się znowu wcieli Bóg w człowieka.

Do wspólnej dobra ludzkiego skarbnicy
 Tyle przybyło zasług i ofiary:
 Długo z bezbronną bronią przodownicy
 Szli na śmierć pewną, niewiedząc przy zgonie

*) W gaju Furrina pod Rzymem finalne rozwiązanie tradycji Gajusa Graccha.

Czy prawda, której zatknęli sztandary,
 Z niemi w niepamięć wieczną uie zatonie,
 Próżną męczeństwa palmą zdobiąc skronie.

A pod tą wrzawą namiętą skarg smutnych.
 Wciąż się dopełnia niecny targ Judasza,
 I nic nie przerwie pasma dni pokutnych;
 Ludy wołają „szczęścia!“ ach, gdzie droga?...
 I chociaż biegną krzycząc „przyszłość nasza,
 Przecież na wszystkich wielka padła trwoga,
 I nic nie mogą znaleźć — nawet Boga...

Wschodzące mary ledwie zejda, zbledną,
 Nigdy się w ciała oblec nie są zdolne —
 Lecz choć szeregi przedświtowców rzedną
 Chociaż się kruszy ułomne narzędzie,
 Jednak natchnienia nie zmarnieją wolne,
 I pójdą dalej w niewstrzymanym pędzie,
 Aż prawda ziemskie królestwo posiędzie.

Psyche tej ziemi, co dziś tak milcząca,
 W zwojach ciemności marząc o kochanku,
 Skrzydłami krwawe kałuże potęra,
 I myśli senna, że to laur i róże,
 Zbudzi się wreszcie w gwiazd niebieskich wianku,
 I jak te lilie, śpiące w wód lazurze,
 Wyplynie wichry uciszyć i burze.

Kamienna siostró! czekaj wieków chwilę,
I świeć nadziejskiej pogody odbiciem,
Mirty zakwitną, powrócą motyle,
Miłość ci przyjdzie zwiastować o wiosnie;
Tymczasem stój tu nad grobowców gniciem,
I spojrzuj także, zwysoka, litośnie,
Gdy trawa nasze mogiły porośnie!

ASCETA.

I.



Tobie, o Panie, zamknąłem życie;
Ku tobie dusza jawnie i skrycie
Płynie drogami wszystkimi —
I wciąż katuję wzgardzone ciało,
Chcąc Twoją tylko oddychać chwałą,
A zostać obcym tej ziemi.

Tyle lat klęczę tutaj w pokorze
I wzrok zatapiam w jasności morze,
Za którą mam Cię pożądać.
Nie dość, że Ciebie myśl ma odgadnie,
Ja Cię przeniknąć pragnę dokładnie,
Oczyrna ducha oglądać.

Więc zapatrzony w wieczyste blaski,
Spragniony widzeń natchnionych łaski,
Krwawemi świecę stygmaty.
I wylatując za ziemską glinę,
W nieskończoności pożądań ginę,
W Twoje wdzierając się światy.

Lecz próżno miłość świętą rozpalam,
 Próżno się z więzów ciała wyzwalam,
 Nie mogę, jeszcze nie mogę —
 Przedrzeć ostatnich mroków zasłony,
 I przez serafów jasne legiony
 Ostatnią otworzyć drogę —

Jeszcze królestwo Twoje nie spadło
 Na duszy mojej smutne zwierciadło,
 By się tam zawrzeć jak w grobie,
 I nie leżałem w prochu zdrętwiały,
 Przed majestatem straszliwej chwały,
 Widząc Cię w ogniach przy sobie.

Czasami tylko, bólem targany
 Duch mój porzuca cielska łachmany,
 W nowe przedzierzga się życie;
 I do Twych niebios biegnie promienny,
 W apoteozie rozlać się sennej,
 A ja umieram w zachwycie...

I już się oczom moim odsłania,
 Przez rozstąpionych grobów błyskania
 Ta Jeruzalem bez zmayı;
 Co na zburzonym świata porządku,
 Staje bez końca i bez początku,
 Przybytkiem wiecznej ekstazy.

Lecz ledwie pierwszym świtem ogrzany,
Zrywam objawień kwiat pożądany,
Uduchownione upajam zmysły,
Gdy nagle z natchnień moich zenitu,
Do dawnej wracam martwości bytu,
I rajske widzenia przysły.

II.

Panie! z otwartym duszy kielichem,
W unicestwieniu pogrążon cichem,
Nowemi ogniami płonę.

Niema już dla mnie czasu, przestrzeni,
Tylko się zorza wieczna promieni,
Nie jestem — lecz w Tobie tonę;

Wznoszę się, lecę, głębia bez końca,
A chociaż niema ziemskiego słońca,
Oczy znieść blasków nie w stanie:
To nie są gwiazdy, to nie są chmury,
Ale skrzydlate anielskie chóry,
Co wiodą w światel otchłanie.

O! to krzyż wielki tę jasność miota,
A u stóp jego źródło żywota
Rozlewa wieczne strumienie;
Tłumy wybranych miliony całe,
Niby błyszczące gołębie białe,
Piją zeń swoje zbawienie.

Wszyscy swe oczy wznoszą w tę stronę,
 Gdzie zakrwawioną cierniów koronę
 Trzymają złote Cheruby;
 A pod nią wyższe orszaki świętych,
 Na nieskończonej tęczy rozpiętych,
 Jako gwiaździste tkwią szruby.

Jedni z otwartą księgą wyroków
 Przestrzenie mierzą okiem proroków,
 A chwałę ustami niosą,
 Drudzy weselne śpiewają psalmy,
 Strojni w zielone męczeńskie palmy.
 I krwawą myją się rosą.

Błękit się coraz rozszerza dalej,
 W tych sfer duchowych ruchomej fali,
 Dziewic przezczystych rój płynie,
 Każda z srebrzystym na głowie wieńcem
 W godowych szatach przed oblubieńcem
 Stanąć w tryumfu godzinie.

Ach! i ta płynie jasna, natchniona,
 Z takim spojrzeniem niebios jak ona
 Co stała drżąca i blada,
 Gdym usta topił w złotym warkoczu...

.
 Gdzie jesteś Panie? tracę Cię z oczu,
 I niebo Twoje przepada!

III.

Wóz mi ta ziemia? jej się wyparłem;
I cóż mi ludzie? dla nich umarłem,
I nie mnie z niemi nie łączy,
Ziemskie pociechy, ziemskie boleści
To tyleż bluźnierstw odmiennej treści,
Których jad w serce się sący.

Niechaj krwią dymi czara ohydna,
Niech się urąga tłuszczą bezwstydną,
Tryumfy święcąc zwodnicze,
W kłamstwie upadną kłamstwa czciciele,
Co na jałowym wieków popiele
Nietrwale łowią zdobycze.

Niech obłąkane dumą anioły,
Co chcą zapłodnić martwe popioły,
Ziemskiej oddani ojczyźnie,
Dotknęci słusznym niebios wyrokiem,
Nie dojrzą Boga stęsknionem okiem,
W dziejowej niknąc krwawiźnie,

Ponad tą lichą robactwa wrzawą,
 Co się dobija o życia prawo,
 W fałszu chwilowych zapędów,
 Niezmienna prawda, do której dążę,
 Jedna warunki życia rozwiąże
 I skruszy kajdany błędów.

Tam! za tą wstrętną plamą nierządu
 Bić już zaczyna godzina sądu
 Dla ciemnych ludzkości marzeń,
 I duchy, trwogą przeczuć miotane,
 Patrzą się, dzikim bólem złamane,
 W niebiosa pełne przerażeń.

Czas się wiekowej wypełnia zgrozy,
 I na gwiazdziste wstąpił już wozy
 Żelaznem berłem rządzący;
 Ten, co go nie zna nawet z imienia
 Świat, choć pokazał twarz Swą z płomienia,
 A w ręku swoim sierp lśniący:

Idzie na żniwo, przed nim anioły
 Równają ziemskie góry i doły
 Pługami ostatnich zniszczeń,
 I przewracając glebę cmentarną,
 Zbierają ważne i czyste ziarno
 W omłocie boskich oczyszczeń.

Duchy brylantem zasług bogate,
 Wdziwiają świetną zwycięstwa szatę,
 W nadziejskiej stają ozdobie;
 Nawet skalane krwią ludzką zbójce,
 Przeszedłszy męki Twojej ogrójce,
 Wznoszą się czyste ku Tobie.

Jacyż to biedni i odtraceni,
 Idą w czerwone morze płomieni,
 Okryci hańby swej piętnem?
 Ach! to ostatni z mojego ludu,
 Co próżno w jasnych zmartwychwstań cudu
 Oczekiwaniu stał smętnem.

Bezplodne męki dostał w udziale,
 Choć zawsze świadczył o Twojej chwale,
 I dziś go czeka zagłada!
 Taką robotnik Twój bierze płacę?

 Gdzie jesteś Panie? z oczów Cię tracę,
 I niebo Twoje przepada!

LEGENDA
PIERWSZEJ MIŁOŚCI.

Ja ją kochałem, tak mi się zdaje,
Bo cudną była w szesnastej wiosnie,
Umiała patrzeć na mnie miłośnie
I rwać mi serce w nadziemskie kraje —
A więc w jej oczach pełnych tęsknoty
Tonąłem wzrokiem i tak na jawie
Śniłem o różach, które ciekawie
Ponad jej włosów wybiegły sploty,
Tak, że je zrywać ustami chciałem,
I byłbym przysiągł że ją kochałem!

Ja ją kochałem, ach! jestem pewny!
Bom często błdził w noc księżycową,
Przypominając mojej królowy
Każde spojrzenie i każde słowo;
A w gwiazdy patrząc wpół nieprzytomnie
Widziałem usta zwrócone do mnie,
Że aż mnie brała wielka pokusa,
W wonne powietrze rzucić całusa,
Lecz się obrazić skromnej lękałem,
I dość mi było, że ją kochałem...

Miłość to była, lecz taka cicha,
 Ze sam przed sobą bałem się zdradzić,
 I tylko kwiatków szedłem się radzić,
 Czemu dziś smutna? i czemu wzdycha?
 Ale o serca jej tajemnicę
 Nie chciałem nawet lilii zapytać;
 A gdy w ogrodzie weszła ulicę,
 Stałem nie śmiejąc wzrokiem ją witać
 I tylko do nóg upaść jej chciałem,
 Kiedy w jej oczach łezki dojrzałem...

Bo przypuszczałem, że smutek rzewny,
 Rozlany na jej anielskiej twarzy,
 Wypłynął z serca i siadł na straży,
 Tak przeczuwałem nie będąc pewny.
 I sam już nie wiem jak się to stało,
 Że zapytałem drżący, nieśmiało,
 Co jest jej smutku dziwną przyczyną?
 I czemu łezki po twarzy płyną?
 Na to odrzekła smutnemi słowy:
 Że nie ma świeżej sukni balowej...

Chociaż wyrazy te obojętne,
 Upadły szronem, co serce ziębi,
 Ale jej oczy mówiły smętne,
 Że się myśl inna kryje gdzieś głębiej.
 Więc pomyślałem żem był za śmiały,

I chcąc złagodzić moję zuchwałość,
 Balowej sukni chwaliłem białość,
 W którą się stroi krzak róży białej;
 Chwaliłem ciernie, które jej bronią
 Przed zbyt ciekawych natrętną dłonią.

Jednak już potem częściej myśl płocha
 Trącała s'rzydłem w błękit mych marzeń,
 I z różnych rozmów, sprzeczek i zdarzeń,
 Stawiałem wnioski: kocha? nie kocha?
 I z tem pytaniem jak Hamlet nowy
 Chodziłem długo w ranek majowy;
 A kwiaty wonią, drzewa szelestem,
 Odpowiadały: Kocham i jestem!
 Nim powtórzyłem setne pytanie —
 Wybiegła wołać mnie na śniadanie.

Różowa ze snu; w słońcu przejrzysta,
 Stała przede mną jasna i czysta,
 Zamiast brylantów na złote włosy
 Jaśminy kładły kropelki rosy,
 I tak oblana światła potokiem
 Jeszcze mnie swoim paliła wzrokiem;
 A ja zmieszany mówiłem do niej
 O drzew szeleście i kwiatów woni,
 Lecz ją znudziła moja rozprawa,
 Bo rzekła: „Chodź pan, wystygnie kawa“.

Oj! oj! figlarko — myślałem zcicha,
 Nie chcesz mnie słuchać na głos i w oczy,
 Za to twój uśmiech mówi uroczy,
 I pierś co mocniej teraz oddycha.
 Nie chcesz mnie słuchać, bo w serca drzeniu
 Czujesz, że staniesz cała w płomieniu,
 Gdy ci wypowiem z schyloną twarzą
 Słowa co w ustach moich się ważą —
 Wtem ona widząc, żem zadumany,
 Rzecz: „Pan jesteś dziś niewyspany“.

I tak mię nieraz mała psotnica
 Zbijała z toru krótkimi słowy;
 Jam się w anielskie wpatrywał lica,
 I w usta pełne niemej wymowy,
 I myśl czytałem co z oczu strzela,
 A serca mego tamując bicie,
 Czulem, że nic nas już nie przedziela,
 Że toniem razem w marzeń błękicie,
 Lecz gdy się tylko spojrzałem tkliwiej,
 Pytała: „Czemu pan się tak krzywi?“

Raz, ach! powziąłem myśl dosyć śmiałą,
 Ukraść jej z album karteczkę białą,
 I na niej wszystko wypisać szczerze,
 Co mnie ochota powiedzieć bierze,
 A więc ubrałem w urocze farby

Całą jej postać czystą, powiewną,
 I wysypałem końcówek skarby,
 By miłość moję uczynić śpiewną;
 Słowem jak młody poeta liryk,
 Wpisałem wierszem jej panegiryk.

Gdy to odkryła, chciałem uciekać,
 Ale przemogła trwogę ciekawość,
 I już wolałem przy niej zaczekać,
 Śledząc na twarzy wrażeń jaskrawość;
 Ona czytała uważnie, zwolna,
 Głębokich wzruszeń ukryć nie zdolna,
 A gdy zdumienie minęło pierwsze,
 Rzekła: „Pan także pisuje wiersze?
 Szkoda że kartkę odjąć wypadnie,
 Bo pan tak pisze krzywo, nieładnie!“

Zrazu to nieco mnie zabolalo,
 Że mnie tak zbyła lekko, złośliwie,
 Ale myślałem: Ja się nie dziwię,
 Że moje wiersze ceni tak mało,
 Ona! to jeden poemat cały,
 A moje wiersze pełne wyrazów,
 Pustych i ciemnych, mglistych obrazów,
 Które w jej oczów blasku stopniały...
 Nie umiem oddać tego co roję;
 Ona piękniejsza niż wiersze moje!

I coraz bardziej i coraz więcej,
O jej prostocie myśląc dziecięcej,
Pytałem siebie czy jestem godny
Takiej miłości czystej, łagodnej?
Lecz czułem tylko, że byłbym dla niej
Gotów me życie poświęcić w dani,
I byłbym rzucił wszystko — gdy trzeba,
I poszedł za nią prosto do nieba,
I byłbym poszedł za nią do piekła...
Gdyby nie... była z drugim uciekła...

JULIAN APOSTATA.

Na czele bitnych rzymskich legionów
Spaliwszy na Tygrze floty,
Gdzie przed wiekami wódz Macedonów
Rozbijał swoje namioty,

Stanął zazdrośny jego podboju,
Świeżą okryty purpurą
Cezar, co wedle sługi pokoju,
Na słońcu prawdy był chmurą. *)

Pieszcząc w swem sercu przeszłości marę,
Chrystusa sieciom niechętny,
Zamierza wskrzesić imperyum stare,
I Olimp bogów ponętny.

*) Tak panowanie Juliana nazywał Atanazy biskup Aleksandryjski.

Jedzie i marzy o swoim wrogu,
 Co berło świata wydziera,
 O tym nieznanym i cichym Bogu,
 Co gdzieś na krzyżu umiera.

„Duszę mam, — mówi — blasków słonecznych
 „Pełną i niemi obrzucę
 „Ludzkość spragnioną jutrzeńek mlecznych,
 „I dawną pogodę wrócę.

„Przeze mnie błysnie dawna potęga
 „Obrządku, co światem władnie,
 „A nowa wiara, co Rzym rozprzęga,
 „Pod stopą moją upadnie.

„Nie w ciemnym, nawpół dzikiem marzeniu
 „Leży zbawienie dla świata,
 „Lecz w tym Heliosa jasnym promieniu
 „Dojrzewa przyszłość bogata.

„Mądrość, na którą wieki się całe
 „Składały w ciężkiej kolei:
 „Mamyż wymienić za to niestałe
 „Zaziemskich widmo nadziei?

„ I barbarzyńską targnąć się ręką
 „Na święte przodków spuścizny?
 „Za galilejską biegnąc jutrzeńką
 „Odstąpić wrogom ojczyzny?

„O nie! mój mistrzu, co wzrok odrywasz
 „Od ziemi, gdzie życia cele,
 „I myślą w sennem niebie spoczywasz,
 „Ziemią się z tobą nie dzielę;

„Lecz ją sam ujmę w żelazne dłonie,
 „Promienną przeszłość odtworzę,
 „A na zwycięskim wejdzie zagonie
 „Słońce, co zgasnąć nie może“.

Tak dumał Julian patrząc się w gwiazdy,
 I szukał swojej w niebiosach,
 Aż wtem spod ziemi perskie podjazdy
 Przyszły rozstrzygać o losach.

Wzięły zwycięstwo bitne legiony,
 Pierzchają hordy przed niemi,
 Ale wódz strzałą perską raniony
 Chyli się z konia ku ziemi.

I laur ostatni rwąc na tej niwie,
 Obficie krwią swą go zmywa,
 Spojrzał się w górę dumnie, wzgardliwie,
 I sny stracone przyzywa.

Potem zgarniając w dłonie już drżące
 Strumień krwawego koralu,
 Cisnął nim w niebo jasne, milczące,
 Z wymówką skargi i żalu,

I zionąc duszę w namiętym krzyku,
Słabnący rzekł Apostata :

„Dziś zwyciężyłeś, Galilejczyku !

„Lecz jutro !... gdzie jutro świata ?

„Cóż ? że my padniemy przy tych bożyszczach,

„Tchnących wdziękami młodości,

„Cóż ? że na naszej potęgi zgliszczach

„Ponury krzyż się rozgości ;

„Że ten świat grecki w mgły się rozwieje

„Z harmonią tęczowych mytów,

„Że w miejsce niego niebo zadnieje

„Męczeńskich pełne zachwyków.

„Czy krzyż otworzy swoje ramiona

„Tułaczem narodów rzeszy ?

„Czy w cieniu jego spocznie strudzona

„Ludzkość, co nie wie gdzie śpieszy ?

„Czy tak jak teraz kona świat stary

„Pod znakiem boskiego zbawcy,

„Nie będą padać ludów ofiary,

„Wleczone pod miecz oprawcy ?

„Czy w imię tego czarnego krzyża

„Świat się nie spławi krwi strugą,

„I wiara co dziś niebo przybliży,

„Ciemności nie będzie sługą ?

„O! przyjdzie chwila, w której o Tobie
„Gromady zwątpią cierpiące,
„Gdy ujrzą na swych nadziei grobie,
„Jak ja, dziś niebo milczące,

„I wołać będą w dzikim okrzyku,
„Padając pod topór kata:
„Dziś zwyciężyłeś, Galilejczyku!
„Lecz jutro! gdzie jutro świata?“

ASZERA.

Ponad ziemskim lecąc globem
W brylantowych skrzę się rósach,
Wonne róże na mych włosach,
Z moich ramion spływa bluszczy;
Nad otwartym stanę grobem,
Pocałunki szląc namiętne,
I uwiodę cienie smętne
W lazurowych kraje puszczy.

Niegdyś, dawniej świat młodzieńczy
Rozmarzyłem w sen lubieżny,
Do mej piersi tuląc śnieżnej,
W namiętności strojąc kwiat;
Dziś mię próżno róża wieńczy,
Zapoznane bóstwo błędne
Bez uścisków schnę i więdnę,
Opłakując dawny świat;

I choć tyle ognia w łonie,
 W ustach pragnień niosę tyle,
 Nie zlatują się motyle,
 Aby wieczną rozkosz pić,
 I kochanków próżno gonię,
 Pałac lilie swym oddechem;
 Nad przeszłości dźwięcznym echem
 Zadumana muszę śnić.

Kwiaty więdną, blaski gasną,
 Porankowych braknie rojeń,
 I miłosnych już upojeń,
 Nie pożąda zimny tłum,
 I zmysłową żądzę jasną,
 Zapaloną w ust purpurze,
 W melancholii topi chmurze,
 Lub przelewa w westchnień szum.

A za łzawą biegnąc perłą,
 Ogniem życia już nie tryska,
 Smutnie dymią ciał ogniska,
 A nie dają ciepła już.
 Brylantowe złożę berło,
 Lub na gwiazdy pójdę inne,
 Bo tu lilie wód niewinne,
 Natrzęsają się z mych róż.

Albo rzucę wzrok błyszczący
 Między ciche zmarłych cienie,
 Rozbujanej piersi drżenie
 Może ruszy śpiący proch:
 Może oddech mój gorący
 Kości stopi i skryształy,
 Z zapomnienia wyjdą fali
 I kochanków odda loch.

Do mnie, do mnie, tu do łona,
 Znow zakwitać, znowu płonąć
 I w uściskach ciągłych tonąć,
 Spłyniecie roje bladych mar;
 Ja otwieram swe ramiona,
 Pocałunkiem zmyję pleśń,
 Tam sen w grobie, tu raj we śnie,
 I miłości wieczny czar.

Czyż mam próżno sypać skarby
 Gwiazd, koralu, pereł, wieńców,
 Rzęs jedwabnych i rumieńców,
 Alabastrów miękkich ciał,
 I w uroczę przybrać farby
 Pożądania rajskie drzewo,
 By spłynęło łez ulewą,
 A owoce wichur zwiął.

Młodość, piękność, wdzięk i siłę,
 Skwarem nieba, tchnieniem wiosny,
 Skojarzoną w splot miłosny,
 Nieprzebyty okrył cień;
 Adonisa dziś mogiłę
 Wśród Byblosu wonnych zwalisk,
 Nie otacza rój odalisk
 Gorączkowych pełny drzeń.

Cześć rozkoszy bez uniesień,
 Serc nie pali i nie wskrzesza,
 Słońce na chmurach nie zawiesza,
 Nie przymnaża twórczych sił,
 Namiętności smutna jesień
 Życiodajne traci ognie,
 Do harmonii ciał nie dognie
 Obumarłych typy brył.

W opóźnionych pulsach świata,
 Erotyczna boska władza
 Skrzepłych istnień nie odmładza,
 Ledwie ciągnie dalszy byt.
 Mych gołąbków tęcz skrzydlata
 Zawieszona u podwiązki,
 Bez mirtowej wróżb gałązki,
 Na jaśniejszy czeka świt.

Muszę rzucić błysk zmysłowy,
I dzisiejszą łez opilość
W wulkaniczną zmienić miłość,
Co poruszy nowy prąd —
Gdy rycerski proch grobowy
Mym uściskiem rozplomienie,
Wyjdzie silne pokolenie
Chananejski zyskał ład!

KWIATY.

Niezabudki kwiecie.

Niezabudki wdzięczne kwiecie
Ona dała mi,
Gdym anielskie żegnał dziecię
Ciche tłumiąc łzy:
I mówiła kryjąc twarz:
— „Luby! wrócisz przecie?
„Ja cię czekam... wtedy dasz
„Niezabudki kwiecie.

„Wszak mówiłeś, że me oczy
„Jasne jak ten kwiat,
„Gdy się po nich łezka toczy
„W dziwny marzeń świat;
„Mego życia rajski sen,
„Wzięłeś sen uroczy —
„Bierz więc łzawy kwiatek ten,
„Pomnij na me oczy.

„Kiedy smutek cię przemoże,
 „Gdy cię złamie ból —
 „Porzuć góry, porzuć morze,
 „Wracaj do tych pól.
 „Ja jak teraz moje skroń
 „Na twych piersiach złożę,
 „Mej miłości czysta toń
 „Głębsza niżli morze.

„Gdybyś długo błędził w świecie-
 „I po przejściu burz
 „Znalazł dziś ci miłe dziecię,
 „W cichym grobie już --
 „Idź, o luby, na mój grób
 „W noc miesięczną w lecie,
 „Rzuć spełniając dawny ślub
 „Niezabudki kwiecie“.

Odjechałem. Dnie mijały,
 Nadszedł smutku dzień;
 Wszystkie moje ideały
 Pierzchły jako cień,
 Jeden tylko wierny mi
 Został kwiatek mały,
 A z nim pamięć lepszych dni,
 Senne ideały.

Życie lało gorzkie męty
 W kielich duszy mej,
 A ja szedłem uśmiechnięty,
 Bo wierzyłem jej!
 Dwoje oczu, gwiazdek dwie,
 Jak talizman święty
 Prowadziło w przyszłość mnie,
 Szedłem uśmiechnięty.

I ostatnie blaski złote
 Snuła życia łódź...
 Gdym w niebieską wstąpił grootę,
 Echo rzekło: wróć!
 Więc rzuciłem wzrokiem w dal,
 Opuściłem grootę,
 I wędrując pośród fal,
 Snułem blaski złote.

Raz, ach! śniłem sen proroczy,
 Że ją widzę tuż:
 Ma zamknięte martwo oczy,
 Wieniec z białych róż,
 Drżąca rączki trzyma w krzyż,
 Kwiaty wśród warkoczy —
 Więc spytałem: „Czemu drżysz,
 I zamykasz oczy?“

Nic nie rzekła, lecz z westchnieniem
 Stopniała we mgle...
 Jam się zbudził z przerażeniem,
 I wróżyłem źle;
 Ach, myślałem, onato
 Przyszła marnym cieniem,
 Osłonięta grobu mgłą,
 Żegnać mnie westchnieniem.

Nigdy jej nie ujrzę zatem!...
 I ostatnia nieć,
 Co wiązała mnie ze światem
 Pękła... mamże żyć?...
 Pójdę tylko na jej grób
 W noc miesięczną latem,
 I wypełnię dawny ślub,
 Co mnie wiąże z światem.

Popędziłem jak szalony,
 Serce łamał ból...
 Gdym się zbliżał w znane strony,
 Do rodzinnych pól —
 Nad strumieniem, gdzie mi kwiat
 Dała łąką zroszony,
 Powitałem wspomnień świat
 Biegnać jak szalony.

Aż wtem nagle widzę dwoje
 Nad zwierciadłem wód,
 Jak zrywają kwiaty moje,
 Kwiaty drogie wprzód;
 Dziewczę skryło swoje twarz
 W jego płaszczu zwoje,
 I widziałem, Boże skarż,
 Ich w uścisku dwoje!

Jak statua Laokona
 Stoję słupem wciąż,
 A myśl dziwna, że to ona,
 Kąsa mnie jak wąż...
 Aż nareszcie, Boże skarż,
 Odchylił ramiona —
 Odwróciła swoje twarz —
 Ach!... to była ona!

Wkrótce potem — ha, co chcecie!
 Kiedy zamąż szła,
 Prowadziłem rajskie dziecię
 Do kościoła... Ha!
 Tylko na pamięci znak,
 W noc miesięczną w lecie,
 Na weselu wpiąłem w frak
 Niezabudki kwiecie.

Tak się skończył sen miłutki
I ostatnia nić...
Zwiędły kwiatek niezabudki
Przestał w sercu żyć;
Powróciłem w ciemne mgły
Unosząc swe smutki,
I nie wierzę dziś już w sny,
Ani w niezabudki!

Bławatek.

Jakito chłopiec niedobry,
Tak mnie wciąż zbywa niegrzecznie,
Muszę się gniewać na niego,
Gniewać koniecznie.

Niedawno wyrwał mi z ręki
Zerwany w polu bławatek,
I przypiął sobie do piersi
Skradziony kwiatek.

I jeszcze żartował ze mnie,
Gdym się żaliła na psotę,
Bo mówił że ma coś więcej
Ukraść ochotę.

Ze oczy moje piękniejsze
Niżli ten kwiatek niebieski,
Ze chce pić rosę z bławatków,
A z oczów łezki.

I mówił dalej niegrzeczny,
Że mnie rodzicom ukradnie,
Tak straszyć kogo, doprawdy
Że to nieładnie.

Chciałabym gniewać się bardzo! —
Nie widzieć więcej... ach! trudno
Wiem że mnie samej bez niego
Byłoby nudno.

Ale go muszę ukarać,
Podstępu na to użyję:
Będę umyślnie płakała,
Niech łezki pije!

Stokrotki.

I.

Jakże żałuję tej szczęśliwej pory,
Kiedy stokrotki, kwiatek pospolity,
Zdał mi się w cudne ubranym kolory,
I budził w sercu dziecinne zachwyty,

I kiedy długie majowe wieczory
Spędzałem patrząc w jasnych ocz błękity,
Cichego szczęścia pełen i pokory
Bijący sercem a nigdy nie syty.

A choć to było kwiecie takie skromne,
Nigdy się z prawdą marzeń nie rachował.
Bom miał rozkoszą serce nieprzytomne,

I kiedym usta różane całował,
Tom nie nie pragnął i nie nie żałował --
I dziś drzę jeszcze, gdy tę chwilę wspomnę...

II.

Później, ach, wiele kwiatów egzotycznych
Widziałem pełnych piękności i woni.
Dużo heroin znalazłem poetycznych,
Niosących uśmiech, łzy i serca w dłoni...

A przecież żaden z tych kwiatów rozlicznych,
Wspomnieniem szczęścia mnie teraz nie goni
I z tych postaci wzniosłych, eterycznych,
Od melancholii żadna mnie nie broni!

Bom się nie spotkał już z tem upojeniem,
Co jedno drogę do szczęścia otwiera,
Bez względu czy jest prawdą, czy złudzeniem.

Bez niego serce powoli zamiera,
I z ideałów blade maski zdziera,
I żegna zwiędłe stokrotki westchnieniem...

R ó ż a.

Ach ta róža! ach ta róža!
Co się w twoje okno wdziera,
Na pokusy mnie wystawia,
Sen i spokój mi odbiera...

Wciąż z zazdrością myślę o niej,
Choć jej nie śmiem dotknąć ręką,
Bo mnie gniewa, że bezkarnie
Patrzy nocą w twe okienko

Radbym nieraz rzucić wzrokiem,
Błądząc w wieczór po ogrodzie,
Radbym dojrzeć... ale zawsze
Stoi róža na przeszkodzie!

Ona winna! ona winna!
Że ciekawość moję drażni,
Bo gdzie sięgać wzrok nie może —
Sięga siła wyobraźni.

Odtwarzając piękność twoją
 Coraz bardziej tracę głowę,
 Zamiast pączków, zawsze widzę
 Twe usteczka karminowe.

A gdy jeszcze wonne kwiaty
 Poosrebrza blask księżycy,
 Wtedy, wtedy w każdej róży
 Widzę tylko twoje lica.

A myśl coraz dalej biegnie —
 I wypełnia postać cudną,
 I odsłania wszystkie wdzięki...
 Bo fantazyą wstrzymać trudno.

Widzę ciebie nawpół senną,
 Snem rozkoszy rozmarzoną,
 Widzę włosów splot jedwabny,
 Śnieżną falą drżące łono,

I te usta, co miłośnic
 Wpół otwarte — chcą czarować,
 I rozważam: co za rozkosz,
 Takie usta pocałować!

Krew się ogniem w żyłach pali,
 Chcę ten obraz pieścić wiecznie...
 Lecz przy róży — pod okienkiem
 Stać młodemu niebezpiecznie.

Gdybym tylko mógł być pewny,
Ze cię, piękna, nie oburzę,
Byłbym, byłym już oddawna
Pod twem oknem zdeptał różę.

P o w ó j.

Nie jedna wesola piosenka,
W wiosenne wieczory lub ranki,
Wybiega z tego okienka,
Strojnego w białe firanki.

I śmiechu srebrnego kaskada,
Ach, nieraz! z owego pokoju
Spłynęła w okna sąsiada,
Po wiotkich splotach powoju.

Natenczas ja byłem studentem,
I boski zajmował mię Płato,
I nad niejednym fragmentem
Ślęczałem zimę i lato.

Myslałem, pracując tak pilnie
I pisząc uczone rozprawy,
Ze się dorobię niemylnie
Wiedzy, znaczenia i sławy.

Zły sąsiad, zły sąsiad był ze mnie!
 Siedziałem jak więzień za kratą,
 I kląłem w duchu tajemnie
 Sąsiadkę, piosnki i lato.

I nigdy nie patrzyłem w okienko,
 Choć nieraz w niedziele lub święto
 Mignęła białą sukienką
 W powoju kwiaty upiętą.

Napróżno wesoła figlarka
 Rzuciła do okna mi kwiatki,
 Brałem do ręki Plutarka
 Strzegąc się psotnej sąsiadki.

Dziś znowu po trudach i znoju,
 Po wielu minionych już latach —
 Mieszkam w tym samym pokoju,
 I myślę czasem o kwiatkach.

Nie myślę już więcej o sławie
 W tej biednej izdebce pod dachem,
 Lecz patrzę w okno ciekawie
 Pojąc się wiosny zapachem.

Daremnie wyglądam, daremnie!
 Dziś nic mi spokoju nie skłóci;
 Ja jednak wzdycham tajemnie,
 Cisza mnie gniewa i smuci.

Ach! teraz już puste okienko!
 I niema w nich białych firanek!
 Nikt mnie nie wabi piosenką
 W majowy wieczór lub ranek.

I śmiechu nie słychać srebrnego,
 I wszystko już leży w ruinie —
 Ja wzdycham, sam nie wiem czego,
 Myśląc o psotnej dziewczynie.

Zaginał ślad mojej sąsiadki,
 I tylko zwieszony kapryśnie
 Powój przynosi mi kwiatki,
 Do okna gwałtem się ciśnie.

I motyl przyleci czasami
 Pić słodycz z jasnego kielicha;
 A ja się patrzę ze łzami,
 „Gdzie ona?” — pytam go zcicha.

Wspomnienie przeszłości pierś tłoczy,
 Aż wreszcie żalami wybucha;
 A motyl patrzy mi w oczy,
 Na kwiatkach siedzi — i słucha —

I szemrze miód pijąc z kielicha:
 „Wszak mogłeś i kochać i marzyć?
 „Kto napój szczęścia odpycha,
 „Ten nie ma prawa się skarżyć!”

Lilie wodne.



Jaki spokój rozlany w naturze,
Niebo takie czyste i pogodne —
Na jeziora przejrzystym lazurze
Zakwitają blade lilie wodne;
Zakwitają i z schyloną twarzą
Za czemś tęsknią i gonią i marzą.

Sierp księżycy przegląda błyszczący
Przez nadbrzeżne sitowia i trzciny,
Łódka płynie po fali milczącej —
Na niej chłopiec patrzy w twarz dziewczyny,
A ta główkę rozmarzoną skłania
Czyniąc jemu dziwne zapytania :

„O czem marzą owe lilie smutne
Zatopione w podwójnym błękicie?
Czy jak duchy jeziora pokutne
W śnie kwiecistym nowe biorą życie,
Gdzie je znowu w jasny wieniec wplata
Idealna twórcza piękność świata?

Czy też może służyć za dyadem
 Utopionej w jeziorze dziewicy?
 Albo tylko są odbiciem bladym
 Ludzkich tęsknot wiecznej tajemnicy,
 I dlatego sen życia je pieści
 Echem naszych pragnień i boleści“.

„Ty się pytasz, mój biały aniele,
 O czem marzą owe kwiaty senne?
 W naszych piersiach kwitnie uczuć wiele,
 A nie wiemy gdzie biegną promienne,
 I związani ze ziemią łańcuchem
 Nic nie wiemy, gdzie płyniemy duchem.

Wiemy tylko, że w ciągłej pogoni
 Za tą marą piękności bezwzględną
 Rozsiewamy kwiaty pełne woni,
 Które kwitną chwil kilka i więdną,
 Ale w każdym w krótkiej trwania dobie
 Zostawiamy jakąś myśl po sobie“.

„Jabym chciała — dziewczę się ozwało —
 Mój sen życia powstrzymać w swym biegu,
 I zakwitnąć taką lilią białą
 Pełną woni na jeziora brzegu;
 I nie ponieść żadnej serca straty,
 Lecz tak zwiędnąć jako więdną kwiaty.

Ja się lękam w ciemną przyszłość płynąc
 I utracić rajskich marzeń jasność;
 Wolę raczej w chwili szczęścia zginąć
 I twą miłość wziąć z sobą na własność,
 I być pewną: że się nic nie zmieni
 W blasku naszych wewnętrznych promieni“.

„Niech cię przyszłość najdroższa nie straszy!“
 — Odparł młodzian, topiąc wzrok w błękitnie —
 „Myśmy najprzód już w miłości naszej
 Zaczerpnęli nieśmiertelne życie,
 I możemy iść dalej bezpiecznie,
 Że się sen nasz za światem uwieczni.

Los nas może na zawsze rozłączyć,
 Wyszukiwać męczarnie najradsze,
 Może w serca truciznę nam sączyć —
 Tych chwil szczęścia on jednak nie zatrze!
 I zostawiam nad swoją mogiłą,
 Co nam spójnią nieśmiertelną było.

Może także nad tonią błękitną,
 Tu gdzie teraz rozmawiamy z sobą,
 Takie lilie znów po nas wykwitną,
 Naszych losów owiane żalobą,
 I w niebiosą patrząc się pogodnie
 Będą o nas marzyć lilie wodne“.

Dzwonki.

Naraz mi jasność zniknęła dzienna,
I świat zalała ciemność bezdenna;
Czułem, że serce boleść mi zrywa...
Poczem nastąpiła cisza straszliwa.
Z całego życia przebrzmiały wrzawy
Zostały tylko mgliste wspomnienia,
Jakiś bój straszny, upadek krwawy,
Wyrok zagłady i potępienia,
Nędza bez granic, byt bez przyszłości.
I całe morze — morze nicości...

W wnętrznościach ziemi, w prochu i pyle,
Leżałem martwy w swojej mogile,
Z wystygłą piersią, z wystygłą twarzą,
Pod ciemnych duchów leżałem strażą;
Lecz chociaż wszystko padło w rozstroju,
W niemocy ducha, w martwości ciała,
Jednak nie miałem w grobie spokoju,
I myśl paląca wszystko przetrwała —
I po przebytej męce konania
Zostało jeszcze poczucie trwania.

Czułem na ustach życia gorycze
 I wszystkie smutki śpiewne, słowicze;
 Marzenia w przepaść stracone ciemną
 Ulatywały jeszcze nade mną;
 A pod tych marzeń mglistą zasłoną,
 Pod tym oddźwiękiem przebrzmiałych godzin,
 Tysiącem uczuć drżało mi łono,
 Tysiącem wskrzeszeń, czy też narodzin,
 Życie się lało w nowe koryto,
 Rzucając dawną formę przeżyta.

Czułem jak piersi moje rozsadza
 Razem niszcząca i twórcza władza,
 Jak nieśmiertelna Boska potęga
 W ruch nieskończony znowu mnie wprzęga,
 Jak mnie roztapia w światów ogromie,
 Jak mi dla ducha drogę toruje...
 I widzę siebie w każdym atomie,
 I wszędzie myśl mą dawną znajduję;
 A jedną cząstką ponad grobami
 Wybiegam na świat kwiatów oczami.

I zamieniony w dzwonki błękitne
 Na własnem zgliszczu stoję i kwitnę...
 Znowu się patrzę na jutrznię złotą,
 Znowu się do niej zwracam z tęsknotą;
 A noc wiosenna perłowe łezki

Rzuca na kwiatów senne kielichy,
 I znowu kończę sen mój niebieski,
 Taki spokojny i taki cichy...
 A kiedy wietrzyk potrąci kwiecie,
 Pieśń idealna płynie po świecie.

Płynie daleko — wietrzyk ją niesie
 Po złotem polu, zielonym lesie,
 Po naszych górach, po naszych wodach,
 Po naszych cichych wiejskich zagrodach:
 Miesza się z szmerem jasnego źródła,
 Z szumem topoli, z śpiewem słowika,
 I nadpowietrznym hymnem spokoju,
 Harmonią ciszy serca przenika;
 I błogosławi ojczyście pole,
 I błogosławi ludzką niedolę.

Czasami także niebieskie kwiecie
 Zwabi do siebie samotne dziecię;
 I siada dumać pacholę młode
 Patrząc na kwiatków dziwną urodę;
 I nie wie nawet jakim sposobem,
 Zrywając dzwonków kłosa powiewne,
 Wyrasta myślą nad smutnym grobem.
 I w sercu dźwięki znajduje śpiewne;
 Lecz czuje tylko: że się w niem budzi
 Pragnienie niebios, miłość dla ludzi.

Więc czegoś patrzy i czegoś czeka,
Niby coś widzi w cieniu zdaleka...
W gasnącej zorzy i w barwach kwiatów,
Zgaduje piękność umarłych światów,
I nim się ocknie z zadumy sennej —
Wykwita przed nim na tle błękitu
Anielska postać w szacie promiennej
Płynąca ogniem nowego świtu,
I tajemnice grobów odsłania
Królowa śmierci i zmartwychwstania.

Mirty.

Sródziemnego morza brzegiem,
Nad błękitnych wód przestrzenią,
Osypane kwiatów śniegiem
Mirty wiecznie się zielenią.

Niebo błyszczy tak ogniście
Zrumienione dołem zlečka —
Przez zielone gaju liście
Roztopione złoto ścieka.

Melodyjnie pluszcze fala,
Wietrzyk w listkach szemrze słodko,
Canzonette słyhać zdala,
Co wciąż nową dźwięczy zwrotką.

Pośród mirtów zwolna kroczy
Syn chmurniejszej, innej ziemi,
I olśnione spuścił oczy
Przed blaskami, przed złotemi!

Prószy z krzewów białe kwiecie,
 A on marzy: jak tam w dali
 Wicher śnieżne zasy miecie,
 Jak tam jęczy, jak się żali,

Jak tam ciężko jest podróżnym
 Po pustkowiach błdzić nocą...
 I o domu marzy próżnym,
 Gdzie powracać niema poco.

Wtem pieśń zabrzmiała: „Mirty płoną.
 „Drżą listkami nieprzytomnie,
 „Ale silniej drży me łono...
 „Luby, luby, śpiesz się do mnie!“

A wędrowiec idąc wzdycha:
 „Ach, nie dla mnie płoną kwiaty —
 „Tam mogiła stoi cicha,
 „Gdzie mi zakwitł mirt przed laty“.

„Tak, pamiętam! rósł w ogródku
 „Zasadzony matki dłonią,
 „Ale biedny usechł z smutku,
 „Lzy go moje nie dogonią“.

Smutny uśmiech znikł mu z twarzy,
 Czoło chmurzy się boleśniej —
 O mogile drogiej marzy,
 Wtem znów słyhać zwrotkę pieśni:

„Śpiesz o luby! przybądź przecie,
 „Mam dla ciebie dary nowe,
 „Świeży uśmiech, świeże kwiecie,
 „Świeże usta purpurowe“.

Dziwnie mu na duszę pada
 Ten ton pieśni rozkochanej,
 Ta rozkosznych słów kaskada
 Na otwarte serca rany;

Więc ucieka przed tem echem
 Na nadbrzeżnych skał krawędzie —
 Morze wita go uśmiechem,
 A piosenka ściga wszędzie.

Piosenka kończy: „W mirtów cieniu
 „Rączką cię nakryję białą,
 „Przy canzonet słodkiem brzmieniu
 „Dobrze ci się będzie spało!“

A wędrowiec dalej kroczy
 Rozważając piosnki słowa:
 Ach! nie luba zamknie oczy,
 Obca ziemia go pochowa.

I powtarza w zamyśleniu
 Przyciskając pierś zbolalą:
 „Przy canzonet słodkiem brzmieniu
 „Dobrze ci się będzie spało!“

Fijolki.

Fe fijolki, co mnie nęca,
Te nie siedzą skryte w trawie —
Lecz zpod długiej ciemnej rzęsy,
Patrzą na mnie tak ciekawie.

Zpod tej rzęsy, co ocienia
Piękniej niżli traw zieloność,
W niebieskiego mgie spojrzenia
Patrzy na mnie nieskończoność.

Niezmierzona, dziwna głębia,
W niej się wszystko, wszystko mieści,
Wymarzone senne skarby,
Czarodziejskich raj powieści.

Ale na tych skarbach wróżka
Położyła swe pieczęcie,
Strzeże ocząt i serduszka
Sen cudowny i zaklęcie.

I te oczy drzemią jeszcze
Otoczone tajemnicą,
Choć z nich czasem błysnie płomień
Jedną, wielką błyskawicą.

Zpod spuszczonej skromnie powiek
Widać jakby jutrznię nową...
O, szczęśliwy stokroć człowiek!
Kto odgadnie zaklęć słowo.

Szczęśny! komu się otworzą
Pełne blasku i pieszczoty —
Wędrowałbym na kraj świata,
Byle znaleźć ów klucz złoty.

O fijołki! lube, zradne,
Troska dręczy mnie surowa —
Bo ja zginę i przepadnę,
Nie znalazłszy zaklęć słowa.

Kwiat paproci.

Zakwita w puszczech dziwny kwiat paproci,
Na jedną chwilę, w tajemniczym cieniu —
Cały świat blaskiem czarodziejskim złoci,
Lecz można tylko dotknąć go w marzeniu.

Młodość, co wierząc sama cuda tworzy,
Umie go dojrzeć w cudowności lesie,
Żadne widziadło w biegu jej nie strwoży
Pewnej, że skarb ten na sercu uniesie.

A choć nie uszczknie kwiecica ideału,
Co pod jej ręką jako sen przepada...
Jednak ma chwilę ekstazy i szału,
W której jest pewną że niebo posiada,

I widzi wszystkie zniszczone nadzieje,
Tryumf szlachetnych poświęceń i trudów,
I nową jutrznię — która zajaśnieje
Ponad przyszłością wyzwolonych ludów...

Gdy się dwa serca spotkają tęskniące
Pełne nadziemskiej piękności i żalu,
Gdy objawienie miłości jak słońce
Na ust spłonionych zabłyśnie koralu,

Gdy po raz pierwszy drżące a wstydlive
Te usta w jeden pocałunek spłyną,
Gdy przez nie dusze połączyć się chciwe
Jako dwie fale w oceanie giną,

Natenczas w uczuć wezbranych powodzi,
W tej błyskawicy duchów idealnej,
Kwiat ów cudowny tajemniczo wschodzi,
I w pocałunku kwitnie niewidzialny!

Tyle też jego trwania, gdy z zachwytu
Zbudzona dusza chce go ująć w dłonie,
Zniknął bez śladu... tylko wśród błękitu
Zostały po nim jakieś dziwne wonie.

ALBUM PIEŚNI.

Między nami nic nie było.

Między nami nic nie było!
Żadnych zwierzeń, wyznań żadnych,
Nic nas z sobą nie łączyło,
Prócz wiosennych marzeń zdradnych;

Prócz tych woni, barw i blasków
Unoszących się w przestrzeni,
Prócz szumiących śpiewem lasków
I tej świeżej łąk zieleni;

Prócz tych kaskad i potoków
Zraszających każdy parów,
Prócz girlandy tęcz, obłoków,
Prócz natury słodkich czarów;

Prócz tych wspólnych, jasnych źrójów,
Z których serce zachwyty piło,
Prócz pierwiosnków i powojów,
Między nami nic nie było!

Zwiędły listek.

Nie mogłem tłumić dłużej
Najsłodszych serca snów,
Na listku białej róży
Skreśliłem kilka słów.

Słowa co w piersiach drżały
Nie wymówione w głos,
Na listku róży białej
Rzuciłem tak na los!

Nadzieję, którąm pieścił,
I smutek co mnie truł,
I wszystkom to umieścił,
Com marzył i com czuł.

Tę cichą serca spowiedź
Miałem jej posłać już,
I prosić o odpowiedź
Na listku białych róż.

Lecz kiedy me wyrazy
Chciałem odczytać znów,
Dojrzałem w listku skazy,
Nie mogłem dostrzec słów.

I pożółkł listek wiotki,
Zatarł się marzeń ślad
I zniknął wyraz słodki,
Com jej chciał posłać w świat!

Posyłam kwiaty...

Posyłam kwiaty — niech powiedzą one!
To czego usta nie mówią stęsknione,
Co w serca mego zostanie skrytości
Wiecznym oddźwiękiem żalu i miłości.

Posyłam kwiaty — niech kielichy skłonia,
I proszą srebrną rosą jak łezkami,
Może uleci z ich najczystsza wonią
Wyraz drżącemi szeptany ustami,
Może go one ze sobą uniosą
I rzucą razem z woniami i rosą.

Szczęśliwe kwiaty! im wolno wyrazić
Wszystkie pragnienia i smutki i trwogi;
Ich wonne słowa nie mogą obrazić
Dziewicy, choć jej upadną pod nogi;
Wzgardą im usta nie odplacą skromne,
Najwyżej rzekną: „Słyszałam — zapomnę“.

Szczęśliwe kwiaty! mogą patrzeć śmieie,
I składać życzeń utajonych wiele,
I śnić o szczęściu jeden dzień słoneczny...
Zanim z tęsknoty uwiędną serdecznej.

Ja ciebie kocham!

Ja ciebie kocham! ach te słowa,
Tak dziwnie w mojem sercu brzmią,
Miałaby wrócić wiosna nowa?
I zbudzić kwiaty co w niem śpią?
Miałbym w miłości cud uwierzyć,
Jak Łazarz z grobu mego wstać?
Młodzińczy, dawny kształt odświeżyć,
Z rąk twoich nowe życie brać?

Ja ciebie kocham! czyż być może?
Czy mnie nie zwodzi złudzeń moc?
Ach nie! bo jasną widzę zorzę
I pierzchającą widzę noc!
I wszystko we mnie inne, świeże,
Zwątpienia w sercu stopniał lód,
I znowu pragnę — kocham — wierzę —
Wierzę w miłości wieczny cud!

Ja ciebie kocham! świat się zmienia,
Zakwita szczęściem od tych słów,
I tak jak w pierwszych dniach stworzenia
Przybiera ślubną szatę znów!
A dusza skrzydła znów dostaje,
Już jej nie ściga ziemski żal —
I w elizejskie leci gaje
I tonie pośród światła fal!

Sonet.

Kiedym cię żegnał usta me milczały
I nie wiedziałem jakie słowo rzucić,
Więć wszystkie słowa przy mnie pozostały,
A serce zbiegło i nie chce powrócić.

Tys powitała znów swój domek biały,
Gdzie ci słowiki będą z wiosną nucić,
A mnie przedziela świat nieszczęścia cały,
Dom mój daleko i nie mogę wrócić.

Tak mi boleśnie żem odszedł bez echa,
A jednak lepiej że żadnem wspomnieniem
Twych jasnych marzeń spokoju nie skłócę,

Bo tobie jutrznia życia się uśmiecha,
A ja z gasnącym żegnam się promieniem
I w ciemność idę i już nie powrócę.

Zyczenie.

Minęła wiosna, minęło lato,
I smutna jesień już mija —
Każdy dzień nową żegna mnie stratą
I resztę łez mych wypija.

Skończy się jesień, nadejdzie zima,
Pajęcza zerwie się przędza —
Serce chwil jasnych w locie nie wstrzyma...
Zostanie rozpacz i nędza.

I zima minie, i świat nanowo
Przybierze postać wiośnianą;
Lecz mnie nie zbudzi miłości słowo —
Umarli z grobu nie wstaną!

Na godach życia, duchem i ciałem
Inni już będą przytomni...
Lecz niech ta, którą tyle kochałem,
Czasami jeszcze mnie wspomni!

Ach, powiedz!

Ach, powiedz, powiedz! jaki Bóg
W nadziemskie ubrał cię szaty,
Abyś w piękności zbrojna łuk
Zburzyła promienne światy.

Ach, wobec ciebie niema nic!
Ty łamiesz prawa odwieczne,
I przed jasnością twoich lic
Promienie gasną słoneczne.

Niebiosa, ziemia, błękit wód,
Wszystko przepada i ginie.
Gdy ty w piękności zbrojna cud
Stajesz na światów ruinie.

Olśniewasz wszystkie światy trzy
Białością swojego łona,
Rozkoszy dreszczem ziemia drży
Kiedy obnażysz ramiona.

Z ust twoich pijąc słodycz róż,
 Z pragnienia umrzećby trzeba,
 Ich ogień wstrząsa światem dusz
 I pali najwyższe nieba.

A któż z śmiertelnych może znieść
 Twą piękność w całym rozkwicie?
 Kto może oddać tobie cześć
 I jeszcze zachować życie?

Kto może myślą pieścić skroń,
 Twych włosów bawić się splotem,
 Kto pieć namiętą może woń
 I jeszcze nie umrzeć potem?

Tak jak konwalii biały kwiat
 Usycha na twojem łonie,
 Tak każdy zginąć byłby rad
 Z uśmiechem szczęścia przy zgonie.

Lecz widząc ciebie, odejść znów
 W samotne ziemi obszary...
 Na te męczarnie niema słów,
 I niema straszniejszej kary!

Więc powiedz, powiedz! jaki Bóg
 Zrobił cię światów królową...
 Bo ja chcę umrzeć u twych nóg,
 Byś mnie wskrzesiła nanowo!

Ty czekaj mnie!

Ty czekaj mnie, dziewczeczko cudna,
Pod tą wysmukłą topolą!
Przysięgam ci — choć to rzecz trudna,
Że wrócę — gdy mi pozwolą.

Ty czekaj mnie i kochaj wciąż!
Będzie to wielką zasługą —
A jak się znajdzie dla ciebie mąż...
Nie każ mu wzdychać zbyt długo!

Lecz bierz z nim ślub i kochaj znowu,
Dopóki serca ci stanie,
I wierzyć chciej mojemu słowu,
Że to ci skróci czekanie.

Gdy minie już miłości szal —
Czekaj mnie pod tą topolą,
Chociażbym z grobu powstać miał!
Powrócę — gdy mi pozwolą.

Rezygnacya.

Wszystko skończone już pomiędzy nami!
I sny o szczęściu pierzchły bezpowrotnie,
Wziąłem już rozbrat z tęsknotą i łzami,
I żyć i umrzeć potrafię samotnie.

Dziś nic z mych piersi skargi nie dobędzie,
Nic jej nie przejmie zachwytem lub trwogą.
Nie wyda dźwięku rozbite narzędzie,
Pęknięte struny zadrzeć już nie mogą.

Niema boleści coby mnie trwożyła,
Bo dzisiaj nawet w własny ból nie wierzę,
Ogniowa próba dla mnie się skończyła
I do cierpiących więcej nie należę.

I żadne szczęście ziemskie mnie nie zwabi,
Żebym się po nie miał schylić ku ziemi...
I żaden zawód sił mych nie osłabi —
Przebytą męką panuję nad niemi.

Światowych uczuć nicość i obłuda
 Już mnie nie porwie swym chwilowym szaleń,
 Przestałem wierzyć w te fałszywe cuda,
 Więc i zwątpieniu ulegać przestałem.

Z całego tłumu zmyślonych aniołów,
 Połyskujących tęczą swoich skrzydeł,
 Została tylko szara garść popiołów,
 I wiotkie nici porwanych już sideł.

Dziś jeden tylko duch mi towarzyszy,
 Co rezygnacyi nosi ziemskie miano,
 On wszystkie burze na zawsze uciszy
 I da mi zbroję w ogniu hartowaną.

W tej zbroi — przejdę przez świat obojętnie,
 Surowe prawdy życia mierząc wzrokiem,
 Ani się gniewem kiedy roznamiętnię,
 Ani się ugnę przed losu wyrokiem.

Patrząc się zdala na kłamliwe rzesze,
 Na ich zabiegi o błyskotki próżne,
 Kamieniem na nie rzucić nie pośpieszę,
 I pobłażania jeszcze dam jałmużnę.

Niech się więc kończy owa sztuka ładna,
 Co się zwie życiem, w cieniu cichej nocy,
 Bo żadna rozpacz i nadzieja żadna,
 Nad mojem sercem nie ma już dziś mocy!

Powrót piosenki.

Piosnka, którą ukochana
Zwykła była mi nucić,
Piosnka dawno zapomniana,
Przyszła sen mój zakłócić.

Jej melodia staroświecka
Zapomniana oddawna,
Miała w sobie uśmiech dziecka
A w łzę była oprawna.

Zkąd się wzięła dziś nanowo
W sercu mojem, któż zgadnie?
Ale słyszę ton i słowo,
Co mi dźwięczy tak ładnie.


Jeśli piosnki jak skowronki
Odlatują z jesienią,
A wracają znów na łąki
Gdy się z wiosną zielenią —

To piosenki tej przybycie
I jej tchnienie miłosne
Może wrócić nowe życie,
Przebudzenie i wiosnę.

Jeśli piosnki są, ach! tylko
Własnym cieniem człowieka,
Co tak duży ranną chwilką,
Z biegiem słońca ucieka —

A do dawnej wraca miary
Kiedy słońce już nisko,
To ten powrót piosenki starej
Może wróżyć noc bliską.

Tęsknota.

 błąki co z ziemi wstają
I płyną w słońca blask złoty,
Ach, one mi się być zdają
Skrzydłami mojej tęsknoty.

Te białe skrzydła powiewne
Często nad ziemią obwisną,
Łzy po nich spływają rzewne,
Czasem i tęczą zabłysną.

Gwiazdy, co krążą w przestrzeniach
Po drogach nieskończoności,
Są one dla mnie w marzeniach
Oczami mojej miłości.

Patrzą się w ciemne odmęty
Te wielkie ruchome słońca.
I ja miłością przejęty
Patrzę i tęsknię bez końca.

Anielskie chóry.

Anielskie śpiewają chóry
W gwiazdzistym błękitów morzu,
Wśród nocnej ciszy, przy łożu
Sennej natury.

Śpiewają tej biednej ziemi,
Co wiecznie w świeżej żałobie,
Jak matka płacze na grobie
Za dziećmi swemi.

Śpiewają ludziom, co dyszą
W codziennym a krwawym trudzie,
Lecz biedni, zmęczeni ludzie
Pieśni nie słyszą.

I tylko ci, którzy toną
W wielkiej miłości pragnieniu,
Ci słyszą w serc swoich drzeniu,
Tę pieśń natchnioną!

Bez granic.

Potoki mają swe łoża —
I mają granice morza
Dla swojej fali —
I góry co toną w niebie
Mają kres dany dla siebie,
Nie pójda dalej!

Lecz serce, serce człowieka,
Wciąż w nieskończoność ucieka
Przez łzy, tęsknoty, męczarnie,
I wierzy, że w swoim łonie
Przestrzeń i wieczność pochłonie
I niebo całe ogarnie.

Płaczącej.

Jy płaczesz dziewczę? lez twoich szkoda,
Na te łzy gorzkie jeszcze zamłoda,
Otrzyj swe oczy,
Świat tak uoczy,
Na niebie jasna pogoda!

Wszak najpiękniejsze z wszystkich niebianek,
Młodość i wiosna wiją ci wianek...
A ty w łzach przecie?
Niedobre dziecię,
Jak chmurny maju poranek.

Jakażto boleść czoło ci chmurzy?
Możesz się pączkiem ukłóła róży?
Lub pragniesz skrycie
Gwiazdki w błękiecie,
I nie chcesz czekać już dłużej?

Siwy koniu.

Siwu koniu, siwy koniu!
Coś tak zadumany?
Nie wiesz drogi, nie wiesz drogi
Do mej ukochanej.

Moja miła nas rzuciła,
Nie wyrzekłszy słowa;
Jak nie znajdziesz do niej drogi,
Zginać nam gotowa.

Siwy koniu, siwy koniu,
Ciężko tobie będzie,
Przegonimy wiatr, co wieje,
Nie spoczniemy w pędzie.

Siwy koniu, siwy koniu,
Ciężej sercu memu —
Bo straciło już nadzieję,
Samo nie wie czemu!

Szumi w gaju brzezina.

Szumi w gaju brzezina,
Bo inaczej nie może —
Wiatr gałązki jej zgina,
Musi szumieć nieboże

Wzdycha w gaju dziewczyna,
Mimowoli lzy cieką —
Bo miłego wspomina,
Co jest od niej daleko.

Gdy nadejdzie już zima
Brzoza liści pozbędzie,
Wszystkie wichry wytrzyma
I już szumieć nie będzie.

Gdy nadejdzie już zima,
Dziewczę wspomni miłego,
I smutnemi oczyma...
Zacznie szukać drugiego.

K l a t w a.

Kto był przyczyną rozstania naszego —
Niechaj łzy moje upadną na niego!
I niech tak samo serce mu przygniotą
Samotnym żalem i próżną tęsknotą!

Kto był przyczyną naszego rozstania —
Niech nie doczeka słodkiego spotkania,
Lecz niechaj ginie zdala od kochanej,
Niepoczyszony i nieżałowany!

Huczy woda po kamieniach.

Huczy woda po kamieniach,
A na głębi cicho płynie —
Nie sądź ludzi po zachceniach,
Ale prawdy szukaj w czynie.

Kto prawdziwie czuć nie zdolny,
Ten się szumem słowa pieści —
Potok głośny, a swawolny,
Mało wody w sobie mieści.

Lecz spokojnej cisza toni
Zwykle wielką głąb zwiastuje —
Na wiatr uczuć swych nie trwoni,
Kto głęboko w duszy czuje!

Może ci wietrzyk przyniósł majowy
Szept podsłuchanej kwiatów rozmowy?...

Utul się w żalu,
Na ust koralu
Niech uśmiech zabłyśnie nowy!

Możesz na kogo dziś się zgniewała,
I ztąd ta chmurka przebiegła mała?

Chmurka się zmieni
W siatkę promieni,
I tęczą będzie jaśniała.

Choćby cię większa dotknęła strata,
Przyszłość dla ciebie w uśmiech bogata...

Prędko się zgoi
Ból w piersi twojej,
Łzy schowaj na dalsze lata!

Dziwny sen

Dziwny sen miałem z wieczora,
Trwał jakby przez wieczność całą —
Tyś była falą jeziora,
Ja byłem nadbrzeżną skałą.

Nie żałowałem tej zmiany,
Żem skałą a nie człowiekiem,
Marzyłem, żem jest kochany...
A wiek przemijał za wiekiem —

Nie żałowałem, że głuchy
Głaz nic powiedzieć nie może...
Mówiły ze sobą duchy,
Jam niebo widział w jeziorze.

Tyś zawsze padała drżąca,
Na moje piersi z granitu,
Złączona wśród lat tysiąca
Węzłami wspólnego bytu.

Kruszyłaś kamienne łono,
A jam się cieszył z zniszczenia,
Bo przeczuwałem spełnioną
Dolę zimnego kamienia.

Wiedziałem, że gdy do końca
Zamiary przywiedziesz zradne —
Żegnając gwiazdy i słońca,
W objęcia twoje upadnę.

Idź dalej.

Wzywałem ciemności: niech wstanie!
I niech mnie pograży w noc ciemną —
Wzywałem milczące otchłanie,
By łona zawarły nade mną. —

Wzywałem straszego anioła:
Niech ślad mój zagładzi na ziemi,
Niech wszystkie dnie moje odwoła,
Niepamięć rozpostrze nad niemi!

Lecz próżno wzywałem litości,
Jak inni przede mną wzywali...
Głos tylko mnie doszedł z ciemności,
Co wołał: „Idź dalej, idź dalej!”

Na śniegu.

Biała się pola, oj biała,
Zasnęły krzewy i zioła
Pod miękką śniegu pościelą...
Biała pustynia dokoła. —

Gdzie była łączka zielona,
Gdzie gaj rozkoszny brzozowy,
Drzew obnażone ramiona
Sterczą zpod zasy śniegowej.

Opadła weselna szata,
Zniknęły wiosenne czary,
Wiatr gałązkami pomiata,
Zgrzytają suche konary.

Tylko świerk zawsze ponury,
W tym samym żalobnym stroju,
Wśród obumarłej natury
Modli się pełen spokoju.

Więc drzewa obdarte z liści,
Na jego ciemną koronę
Patrzą się okiem zawiści,
Głowami trzęsą zdziwione...

Próżno głowami nie trzęście,
Wy nagie, bezlistne gaje!
Przemija rozkosz i szczęście,
Boleść niezmienną zostaje.

Uwielbienie.

Umarły jeszcze będę wielbić ciebie!
I nie zapomnę pod ziemią, czy w niebie.
O twojej jasności —
Boś ty mi była nie próżnem marzeniem,
Nie bańką zmysłów tęczowej nicości,
Lecz byłaś ducha ożywczem pragnieniem
Wiecznej miłości!

Nie otoczyłaś mnie pieszczotą senną,
Ani też falą spłynełąś płomienną
Na pierś stęsknioną,
Nie wprowadziłaś mnie na róż posłanie,
Gdzie tylko ciała w upojeniu toną —
Lecz mi piękności dałaś pożądanie,
Moc nieskończoną.

Myślałem że to sen.

Myslałem że to sen, lecz to prawda była:
Z nadziemskich jasnych sfer do mnie tu zstąpiła,
Przyniosła dziwny blask w swoich modrych oczach,
Przyniosła kwiatów woń na złotych warkoczach;
Podala rączkę swą — szliśmy z sobą razem,
Przed nami jaśniał świat cudnym krajobrazem,
Pośród rozkosznych łąk i gajów mirtowych,
Wiecznie zielonych wzgórz i wód szafirowych
Szliśmy niemówiąc nic — a mnie się wydało,
Że z życia mego pieśń wypowiedział całą,
Że z jej różanych ust jak z otwartej księgi,
Czerpałem tajny skarb wiedzy i potęgi.
Wtem nagle przyszła myśl dziwna i szalona,
Żeby koniecznie dojść zkąd i kto jest ona?
I gdy zacząłem tak i ważyć i badać,
Kwiaty zaczęły schnąć, a liście opadać,
I nastał szary mrok... a ja w swoim biegu
Stałem w gęstej mgle na przepaści brzegu,

Strwożony, zmianą tą zwróciłem się do niej,
Niestety, już jej dłoń nie była w mej dłoni.
Słyszałem tylko głos ginący w ciemności:
„Byłam natchnieniem twem, marą twej młodości!“
I pozostałem sam — i noc świat pokryła!
Myślałem że to sen — lecz to prawda była!

Z MOTYWÓW LUDOWYCH.

Błąka się wicher w polu.

Błąka się wicher w polu,
Nie wie w którą wiać stronę,
Błąka się w dzikim bolu
Moje serce zmęczone.

Śnieg leży w gęstym borze,
I pokrywa krwi ślady,
Tam moje ślubne łoże,
Tam kochanek mój blady!

Tak długo na mnie czeka!
Próżno pytam o drogę —
Droga ciemna, daleka,
Dotąd trafić nie mogę!

Noc czarna świat otacza —
Głucho, straszno i ciemno!
Ktoś płacze, ktoś rozpacza,
Przy mnie, czy też nade mną.

Mówiono, że to biedna,
Obląkana dziewczyna,
Po polu sama jedna
Żale swoje poczyna,

Lecz nie wiem ktoto taki?
Bo tak ciemno, jak w grobie ---
Gdy ujrę krwawe znaki,
To przypomnę ją sobie!

Bodaj owa rzeczka...

Bodaj owa rzeczka szuwarem zarosła,
Która mnie młodego w obcy kraj zanosła:
Bodaj owa rzeczka rybek nie rodziła,
Która mnie młodego z domem rozłączyła
Bodaj owa rzeczka wyschła doostatka,
Ze mnie tam zanosła, gdzie nie znajdzie matka.

„Nie trzeba ci było! o mój chłopcze młody,
Puszczając się tak łatwo na wezbrane wody,
Nie trzeba ci było z domu się wydzierać,
Nie musiałbyś teraz z tęsknoty umierać;
Rzeczka będzie rzeczka i wciąż będzie płynąć —
Wstecz nie wróci woda, musisz marnie ginąć!
A twojej mogiły nie obleję łzami,
Tylko nad nią buuze będą wyć nocami!“

Nie będę cię rwała...

Nie będę cię rwała,
Konwalijko biała,
Bobyś ty na moję
Płochosć narzekała.

Myślałabyś sobie :
Że to na złość robię ;
Rośnij więc szczęśliwie,
Gajom ku ozdobie.

Nie mam ja dziś komu
Kwiaty nieść do domu,
Nikt mi ich nie wyjmie
Z włosów pokryjomu.

Niema już sąsiada,
Co kwiaty wykrada,
Zdradziecki to chłopiec
Ale słodka zdrada !

Pokąd nie przyjedzie,
Nie mi się nie wiedzie,
Bo wciąż tylko myślę
O młodym sąsiedzie.

I wszystko mnie nudzi,
Uciekam od ludzi,
Nawet zrywać kwiaty
Chętka się nie budzi.

Możesz więc w spokoju
Rosnąć tu przy zdroju,
Dziś mi nic nie przyjdzie
Z kwiecistego stroju.

Lecz gdy wróci luby
Zawrzeć ze mną śluby,
Wtedy, konwalijko,
Już nie ujdiesz zguby. —

Chłopca mego mi zabrali..

Chłopca mego mi zabrali,
Matulu!

W świat daleki go pognali,
A ja za nim umrę z bólu —
Dałam na mszę sznur korali,
Niechaj Pan Bóg go ocali,
Matulu!

Do szeregu poszedł z bronią,
Mój Boże!


Tam śmierć pewna — poszedł po nią:
Miłość moja nie może,
Ani łzy go nie zasłonią
Przed zawistnej śmierci dłonią,
Mój Boże!

Nie pytają o to wrogi
 Kto ginie?
 Czy jest sercom ludzkim drogi?
 Czy płacz siostry za nim płynie?
 Czy umiera matka z trwogi,
 Kiedy pyta śmierci srogiej:
 Kto ginie?

Na kulami zaoranej,
 Na roli,
 Ma paść we krwi mój kochany...
 Czyliż na to Bóg pozwoli,
 By samotnie ginął z rany
 Zdala swoich — na zasianej
 Krwia roli!

Spójrzyj na nas, Ty Panienko
 Przeczysta!
 I nad serca mego męką
 Ty się zlituj, o gwiazdzista
 Niebieskiego dnia jutrzeńko!
 Osłoń jego swoją ręką,
 Przeczysta!

Pan Jezus chodzi po świecie.

! nie rozpaczaj tak dziecię,
Ze nie masz ojca i matki!
Pan Jezus chodzi po świecie
I zrywa na łąkach kwiatki.

Chodzi od wioski do wioski
I z kwiatów wianeczki zwija —
Szczęśliwym, uśmiech ojcowski
Do chaty rzuca — i mija.

Lecz gdy sierotę napotka
W chacie zwalonej od gromu,
Natenczas zjawia się słodka
Twarz Jego na progach domu.

I boskie wyciąga dłonie
Aby przytulić sierotę,
Niesie jej blaski i wonie
Kwiatki niebieskie i złote.

A każdy kwiatek niebieski,
Którym Pan Jezus obdarzy,
Osusza sieroce łezki
Wejrzeniem matczynej twarzy.

I w sercu nabrzmałem łzami
Wciąż pączki wypuszcza świeże...
Jasnemi niebios barwami
Duszę sieroty ubierze.

A każdy kwiatusek złoty
W przewodnią gwiazdę się zmienia,
I lśni nad czołem sieroty
Iskrą czystego natchnienia.

Choć pójdzie drogą boleści —
Choć nie zna rodzinnej strzechy —
W swych piersiach dziedzictwo mieści
Pełne niebiańskiej pociechy.

Więc nie rozpaczaj tak dziecię,
Że nie masz ojca i matki!
Pan Jezus chodzi po świecie,
I zrywa na łąkach kwiatki.

C z a r y.

Coś się zdawało dziewczynie,
Coś się zdawało!
Przy młynie
Godzinę całą
Patrzała, jak woda płynie,
Jak pod nią w wodnej kotlinie
Coś się pluskało!

Zdawało jej się, że w wodzie
Widzi tęczowy
Na spodzie
Gmach kryształowy,
A przed nim w świetnym pochodzie,
W zaczarowanym ogrodzie
Królewskie łowy.

Zdawało jej się znów dalej,
 Że widzi potem
 Na fali,
 Błyszczących złotem
 Rycerzy w hełmach ze stali,
 Że nawet ukłony w dali
 Widzi przelotem.

O cuda! tuż przed nią klęka
 Piękna, jak świeża
 Jutrzenka,
 Postać rycerza;
 Wpół ją objęła dłoń miękka —
 Ona się płoni i lęka
 I nie dowierza.

On szeptem miłośniczo do niej:
 „Z kraju piękności,
 Barw, woni,
 Z kraju młodości,
 Z wieczystej błękitnej toni,
 Przybywam z wieńcem na skroni —
 Pragnę miłości!“

„Jeśli masz serca choć tyle,
 Zeby pierś biała
 Na chwilę
 Uczuciem drżała...“

Porzucę skrzydła motyle,
I pozostanę tu w pyle
Ludzkiego ciała“.

„Lecz jeśli tylko odgadnę,
Ze kształty owe
Tak ładne,
Są marmurowe,
Ze serce nie drży w nich żadne —
To wtedy jak cień przepadnę
W mgły zaświatowe!“

Dziewczyna słucha i płonie,
Coś jej się zdaje,
Że w łonie
Zwolna powstaje,
W dziewiczej wstydu osłonie
Prawdziwa miłość — więc dłonie
Drżąca podaje.

Lecz kiedy schyla się z trwogą
Do słodkiej mary,
Pod nogą —
Byłyżto czary?...
Nie widać przed nią nikogo!
A tylko przechodzi drogą
Młynarczyk stary.

Widocznie w owej godzinie
Coś się jej śniło
Przy młynie ;
Zkądby wziąć było
Rycerzy w wodnej kotlinie ?
A może w pięknej dziewczynie
Serce nie biło ?

Przykro, przykro jest dębowi, ..

Przykro, przykro jest dębowi, gdy go robak toczy,
Ale przykrzej nie móc płakać, gdy łez pełne
[oczy.

Smutno biednej jest ptaszynie, gdy jej skrzydła urzną,
Ale smutniej jeszcze temu, co kocha napróżno!

Źle jest zmykać jeleniowi, gdy go zdybia w kniei,
Ale gorzej jeszcze sercu, wyrzec się nadziei. . .

Trudno pływać ciężkim głazom po rzecznej głębinie,
Ale trudniej nie żałować szczęścia — kiedy minie. —

Ciężko, ciężko, wrócić na świat, gdy się leży w grobie,
Ale ciężej, o mój miły, zapomnieć o tobie!

Zdradzieckie drzewo.

Wzłą czy dobrą dolę
Wśród szczęścia lub męki,
Chodziłem na pole,
Śpiewając piosenki.

I było lżej sercu
Wypłakać się śpiewem
Na łąki kobiercu,
Pod szumiącym drzewem.

Słuchały mnie gaje —
I wtórzyły pieśni
Srebrzyste ruczaje
I ptaszkuje leśni,

I dolina cała
Z uśmiechem wesela,
Zawsze mnie witała
Jako przyjaciela.

Aż przyszła dziewczyna...
 I pyta się drzewa:
 „Dlaczego dolina
 Tak dźwięczy i śpiewa?“

A na to powiada
 To drzewo szumiące:
 „Jest ktoś, co posiada
 Serce śpiewające,

„I chodzi przez błonie
 Po polach i lesie,
 Serce drży mu w łonie,
 Wietrzyk piosnki niesie“.

Więc rzecze złośliwa:
 „To serce mieć muszę!
 Niechaj mi przygrywa,
 Gdy je rączką ruszę“.

I przychodzi do mnie
 Układna, zdradziecka,
 I prosi się skromnie
 Z naiwnością dziecka:

„Nudzą mnie już zdroje,
 Nudzą mnie motyle,
 Daj mi serce twoje,
 Zabawię się chwilę.

Chcę tej strunie śpiewnej
 Przyjrzeć się ciekawie,
 Oddam ci, bądź pewny!
 Skoro się zabawię.

„Proszę cię powolnie,
 Widzisz mą pokorę —
 Nie dasz dobrowolnie —
 To gwałtem zabiorę“.

Zrobiła co chciała
 I ruszyła w drogę,
 Pusta pierś została...
 Śpiewać już nie mogę.

Więc dziwią się gaje
 I ptaszki w leśni,
 Że im nie dostaje,
 Teraz mojej pieśni,

I ja sam się dziwię,
 Myśląc z niepokojem
 O tej, co złośliwie
 Igra z sercem mojem.

Choć wszystko straciłem
 Nie mam do niej gniewu,
 Tylko dokuczyłem
 Zdradzieckiemu drzewu,

Drzewu, co wydało
Mój sekret dziewczynie,
Ściąłem gałąź całą...
Niechaj marnie ginie!

Gdy ...

Gdy zielenić gaj się zacznie
W majową pogodę,
Zaczynają się nieznacznie
Budzić serca młode.

Gdy różowe kwiecia puchy
Pokryją jabłonie,
Ktoś się skrada do dziewuchy,
A ta cała płonie.

Gdy jabłoni kwiat opada,
Kalina zakwita,
Przy dziewczynie chłopiec siada
I o coś się pyta.

Gdy słowiczek pieśń wiośnianą
Nuci ponad strugą,
Ukochany z ukochaną
Rozmawiają długo.

Gdy się biały powój wije
 Około olszyny,
 Oplatają chłopca szyję
 Rączęta dziewczyny.

Gdy na żniwo czas nadchodzi
 I żyta się bielą,
 Przysięgają sobie młodzi
 Że ich nie rozdziela.

* * *

Gdy szron potem trawkę zwarzy,
 Zmarszczy listki suche,
 Coś ojcowie radzą starzy
 Jak wydać dziewczuchę.

Gdy w cieplejsze ciągną światy
 Wędrownie bociany,
 Wraca z niczem z ojców chaty
 Chłopiec ukochany.


Gdy upadną pierwsze śniegi,
 Dziewczyna rozpacza,
 Bo przychodzą na przespiegi
 Swaty od bogacza.

Gdy nastaje dzionek krótki,
 Trzaska jeździec z bicza,
 Ojciec wnosi kielich wódki,
 Zięcia grosz oblicza.

Gdy zmrożone staną rzeki
 Ścięte w grube lody
Z ciężkiem sercem w świat daleki
 Rusza chłopiec młody.

Gdy pod śniegiem dyszą sioła,
 Smutnie wrona kracze,
W ślubnym wianku do kościoła
 Dziewczę jadąc płacze.

Siedzi ptaszek na drzewie...

iedzi ptaszek na drzewie
I ludziom się dziwuje,
Ze najmądrszy z nich nie wie,
Gdzie się szczęście znajduje,

Bo szukają dokoła
Tam, gdzie nigdy nie bywa,
Pot się leje im z czoła,
Cierń im stopy rozrywa.

Trwonią życia dzień jasny
Na zabiegi i żale,
Tylko w piersi swej własnej
Nie szukają go wcale.

W nienawiści i kłótni
Wydzierają coś sobie,
Aż zmęczeni i smutni,
Idą przespać się w grobie.

A więc siedząc na drzewie
Ptaszek dziwi się bardzo,
Chciałby przestrzec ich w śpiewie...
Lecz przestroga pogardzą.

W chacie...

W chacie słabo ogień błyska,
Dymiąc tli się pniaczek świeży —
Niedaleko od ogniska
Siwy dziaduś w kącie leży.

Izba taka naga, dymna,
Nędzę wkoło znać widomie —
Siwy dziaduś drży ze zimna,
Na wilgotnej leżąc słomie.

Trupia bladość swą powłoką
Pomarszczoną twarz pokrywa,
Zapadnięte skrzy się oko,
Niby świeczka dogorywa.

Śmierć z bladego patrzy czoła,
I na zdobycz swoje czyha,
I okrąża go dokoła,
I po chacie stąpa cicha.

Dwoje dzieci w nogach siadło —
 Trwoźnie patrzą nieruchome
 Na dziadusia twarz wybladłą...
 I z posłania skubią słomę.

W głowach stoi kobiecina
 Jeszcze młoda, choć już zwiędła,
 Zapłakana, drżąca, sina,
 Nici zwija co uprzedła.

Tłumi w sobie płacz i łkanie,
 I w milczeniu stoi głuchem,
 Patrzy chyłkiem na posłanie
 I ociera łzy fartuchem.

Chce żal ukryć — lecz nie umie,
 I przed chorym łza ją zdradzi...
 Dziaduś widzi i rozumie,
 I tak do niej rzecz prowadzi:

„Córko moja! nie masz czego
 Lamentować, tak przeze mnie,
 Łzej wam będzie bez starego —
 Jadłem chleb wasz nadaremnie!“

„Gdy szczęśliwych śmierć rozdziela,
 To pojmuje żalność wtedy...
 Ich radości i wesela
 Nie zagorzkiły kwasem biedy“.

„Ci nie znając gorzkiej doli,
Mogą myśleć o kochaniu,
I łyż swoje lać do woli,
Przy wieczystem pożegnaniu.“

„Ale takim ludziom biednym
Nawet kochać się nie trzeba —
Mniej nędzarzem będzie jednym,
To dla drugich więcej chleba.“

„Trza na rozum brać te rzeczy,
Jedna troska drugą spędza;
Śmierć przed głodem zabezpieczy . . .
A nad wszystko sroższa nędza.“

„Już bywało od lat paru,
Nieraz gorzka myśl przeleci,
Że przysparzam wam ciężaru,
I objadam wasze dzieci.“

„Czasem mnie się też uwidzi
Że się mąż twój patrzy krzywo —
Nie dziwota! — trapią Żydzi,
A zmarniało całkiem żniwo.“

„Tom wyrzuciał nieraz sobie,
Że po ziemi chodzę jeszcze,
Gdy już grosza nie zarobię,
Tylko bywa dzieci pieczę.“

„Bóg zlitował się nareszcie...
Mnie i twoim będzie lepiej...
Więc do serca tak nie bierzcie,
Niech Pan Jezus was pokrzepi!“

„Kłopot tylko pochowanie,
I wydatek dosyć znaczny;
Lecz zaradzić jestem w stanie,
Na potrzebę byłem bacznym“.

„Pod głowami obok paska,
Jest skórzany mieszek stary,
W nim, prócz noża i obrazka,
Cztery srebrne są talary“...

„Przewidując kłopot taki,
Nie dawałem wam na życie...
Sprawcie pogrzeb ładajaki...
Może co z nich oszczędzicie“.

„Kozik niechaj Wojtuś bierze,
A obrazek mój — Jagusia —
Ach! za dziećmi żal mi szczerze...
Niechaj westchną za dziadusia!“

Słonko.

Wędrowało sobie słonko,
Uśmiechnięte jasne, złote,
Szło nad gajem, szło nad łąką,
Napotkało w łzach sierotę —

Ten się żali: „Tak wesoło
„Świecisz światu słonko moje,
„Uśmiechami sypiesz wkoło,
„Gdy ja smutny we łzach stoję;“

„Obojętnie patrzysz na to,
„Jak się ludzkie serca męczą...
„I nad każdą ludzką stratą
„Promienistą błyskasz tęczę.“

Słonko na to: „Biedne dziecię!
„I mnie smutno na niebiosach,
„Gdy o waszym myślę świecie
„I o ludzi ciężkich losach.“

„Lecz nie mogę ustać w drodze,
„By nad każdą boleć raną —
„Więc w złocistym blasku chodzę,
„Wypełniając co kazano.“

„Nie pomogą próżne żale...
„Ból swój niebu trza polecieć —
„A samemu wciąż wytrwale
„Trzeba naprzód iść... i świecić!“

MOZAJKA.

Wspomnienie.

Ach, tam! gdzie pierwsza witała mnie zorza,
Gdzie tyle w życiu dosłyszałem gwaru,
Przez te zastygłe i umarłe morza
Wrócę do uczuć młodzieńczych pożaru,
Po kwiat się jeden schylę nad łez wodą,
A może znajdę swoją duszę młodą;

Taką, jak była w poranku stworzenia,
Gdy biegła witać świat ten dla niej nowy,
Żądzą miłości, walki i cierpienia,
W blask się jutrenki przybrawszy różowy,
I zakochana w własnych mar odbiciu,
Zaczęła pierwszy poemat o życiu.

O! poemacie młodości, któż może
Na twe wspomnienie obojętnym zostać?
I widzieć ten sen i to kwiatów łożo,
Na którym jasna spoczywała postać,
I choć na chwilę nie splonąć rozkoszą
Wśród rajskich widzeń, które woń roznoszą?

W maju, w uroczym bogatym poranki,
 W kwitnącej życia chwili, z marzeń tęczy
 Komuż nie spływa niebiańskiej kochanki
 Widmo, co serce jak lutnię rozdźwięczy,
 I paląc piersi namiętym oddechem,
 Komuż nie porwie duszy niebios echem?...

Nikły meteor, lecz toruje drogę,
 I nieśmiertelność pragnień w piersiach szczepi,
 Więc choć na widmie postawi się nogę,
 Bolesć mu nowy piedestał ulepi,
 Gdzie stojąc skrzy się różowym płomieniem,
 Do chwili, w której wszystko zajdzie cieniem.

Gdzież jest to pierwsze rozkoszne zjawisko,
 Co się do piersi mej tuliło drżącej?
 Ach! tak daleko już, i ach, tak blisko!...
 Odchodzi zwolna od wierzby płaczącej,
 Co ocieniała rozmarzone głowy,
 Słuchając sennej słowików rozmowy ..

Wracaj, o luba! wszakże zmierzch wieczorny
 Zranione serca zwykł zbliżać do siebie,
 Na ustach twoich zawisnę pokorny,
 I całą pamięć przeszłości zagrzebię,
 Jak feniks z własnych powstanie popiołów
 To opętane serce przez aniołów,

Czy pomnisz dzień ten omamień bez trwogi,
 W którym miłości rzuciłaś mi słowo?
 A jam ci światy chciał rzucić pod nogi,
 I innym życiem natchnąć je nanowo,
 Bom się tak uczułem wielki, dumny, silny,
 Że chciałem nawet wskrzesić świat mogilny.

Jeżeli pomnisz dzień ten i wyrazy,
 Które się lały wezbrany potokiem,
 Wiedz, że wciąż do tej zielonej oazy
 Wybiegam sercem i myślą i wzrokiem,
 U tego źródła, co tak żywo bije,
 Jak gołąb pióra obmywam i piję...

A gdy się zdrojem tych wspomnień odświeżę,
 Gdy się upoję miłości tej wonią,
 Znowu zaczynam kochać i znów wierzę,
 Że zdołam jeszcze wzlecieć w niebo po nią,
 I zapominam com cierpiał i przeżył,
 Bylebym jeszcze chwilę dłużej wierzył...

I zapominam, że mi już niewolno
 Powrócić w przeszłość jasną i szczęśliwą,
 Że muszę naprzód drogą iść mozolną,
 I snuć z swej piersi pajęczę przedziwo;
 Więc na to wszystko niepomny przez chwilę,
 Chcę przybrać skrzydła i barwy motyle.

Lecz już zapóźno! duszy co się wzbija
 Motyle skrzydła unieść już nie mogą,
 Chwila upojeń bezpowrotnie mija,
 I dziś trza pełzać wydeptaną drogą,
 O żadne loty więcej się nie kusić,
 Milczeć i serce do milczenia zmusić.

Do ciebie wrócić nie chcę i nie mogę,
 Bo już zaginał dawny kształt młodzieńczy;
 Długą przebyłem po przepaściach drogę,
 I dziś już żadna róża mnie nie wieńczy;
 Wolę się ukryć przed twym wzrokiem w cieniu,
 I żyć młodością wieczną w twym wspomnieniu.

Miałbym odsłonić przed tobą pierś pustą,
 W której wygasła siła i namiętność,
 Miałbym pozwolić pocałunkowi ustom,
 Na których usiadł chłód i obojętność?
 O, nie! na wieki wolę się rozłączyć,
 Niż gorycz moję w twoje serce sączyć!

Tak więc odchodzę, bez żalu bez serca,
 Słowiki wspomnień do snu już się kładą,
 I tylko puhacz, posepny szyderca,
 Słyszeć się daje, ja twarz zwracam bladą,
 I przez dzielący nas przeszłości cmentarz,
 Rzucam pytanie: „Czy jeszcze pamiętasz?“

Pożegnalne słowo.



o drogę moję pytasz się i zżymasz,
Że ta wykracza poza słońc twych sfery,
Nie chcę cię ludzić, widzisz jestem szczery,
Nie pójdziesz za mną, lecz mnie nie powstrzymasz
Gdzie świat mój? słońce? gdzie jest moja meta?
Może meteor błędny nie kometa
Chwilę nadziejskie olśniwszy etery,
Zgasnę w ciemnościach, więc imię me wymaż
Z listy twych bratnich planet, co bez końca
Kręcić się będą koło swego słońca.
Może kataklizm straszny mnie tam wiąże
Z nieznanomego biegunami świata,
Może fatalizm pcha mnie, a zatrata
Jedynym kresem, do którego dążę,
Na cóż mi wiedzieć gdy wytknięta droga?
A resztę zdałem na los, czy na Boga,

Jam już zmęczony tą ciągłą gonitwą,
 W której co chwila duch mój łamał skrzydła,
 Nie mogłem niebios przejednać modlitwą,
 A Syzyfowa praca mi obrzydła;
 Nie chcę już ducha okiełznać w wędzidła
 Jak niesfornego rumaka przed bitwą,
 By zwyciężonym powrócić z wyłomu,
 Unosząc hańbę do pustego domu.

Ach! w tej bezbrzeżnej pustyni dla ducha
 Niema gdzie widzeń swoich ucieleśnić!
 Więc chociaż serce jak wulkan wybucha,
 Samotne musi wieczność gniewu prześnić
 I do grobowców przywyknąć milczenia,
 Nim znajdzie w prochach ciszę zakończenia.

Wolę więc pełen pogardy i wstrętu!
 Odwrócić moje obłąkane oczy —
 Od tego ładu próżnego lamentu,
 Od tej przyszłości, którą robak toczy,
 I zapatrzony w mój ideał biały,
 Stać jako posąg na ból skamieniały.

A kiedy słońce gasnące oświeci
 Ostatni dzień mych marzeń i upadek:

Sam swojej hańby i rozpaczy świadek,
W milczącą przepaść duch się mój rozleci,
I nie zostawi dla nas nic po sobie,
Cobyście mogli lżyć litością w grobie.

Echo kołyski.

Gdym jeszcze dzieckiem był
Budżącem się na świat,
Gdy wątły życia kwiat
Jeszcze się w pączku krył,
Na łono matka mnie brała,
Pieściła i całowała,
Gdym jeszcze dzieckiem był.

Pamiętam po dziś dzień,
Jak kojąc płacz i gniew,
Nuciła tęskny śpiew,
Co falą słodkich brzmień
Dobywał uśmiech nanowo,
I każte piosnki słowo
Pamiętam po dziś dzień.

„Dziecino, nie płacz! nie!
 Rozjaśnij twoją twarz,
 Dopóki matkę masz
 Nie może ci być źle,
 Na mojem oprzyj się łonie,
 Ja cię przed bolem zasłonię,
 Dziecino, nie płacz, nie!

„Chowaj na później łzy!
 Dziś jeszcze anioł stróż
 Girlandą białych róż
 Okala twoje sny,
 Na tkance marzeń pajęczej
 Maluje kolory tęczy,
 Chowaj na później łzy!

„Rozkoszą wszystko tchnie,
 Śpiewa ci ptaków chór,
 W twem niebie niema chmur,
 Ani goryczy w łzie;
 Życie uśmiechem cię wita
 I każdy kwiat ci rozkwita,
 Rozkoszą wszystko tchnie!

„Więc duszę swoją pieśń
 Jutrzenką rajskich farb,

I czystych uczuć skarb
 W niewinnej piersi mieść!
 Byś mógł zaczerpnąć w tym zdroju
 Gdy ci przybraknie spokoju —
 Więc duszę swoje pieść!

„Bo przyjdzie inny dzień,
 W którym, o synu mój!
 Napotkasz tylko znój,
 Zamiast rozkoszy tchnień;
 Zdrada ci oczy otworzy,
 Nieufność ducha zuboży,
 Bo przyjdzie inny dzień.

„Przyjdzie ci płacić krwią
 Serdecznych marzeń dług,
 Zdepcze cię w prochu wróg,
 Znieważy boleść twą,
 Szlachetny poryw zapалу
 I miłość dla ideału
 Przyjdzie ci płacić krwią.

„I ból swój będziesz niósł
 Samotny sercem w świat!
 Zawodów, złudzeń, zrad,
 Będzie ci wieniec rósł,

Cierniami otoczy skronie,
 Skrępuje na zawsze dłonie —
 I będziesz ból swój niósł.

„Na taki życia zmrok,
 Rozbicia straszną noc,
 Zachowaj ducha moc
 I jasny dziecka wzrok,
 Niech ci wspomnienie kołyski
 Przyniesie matki uściski
 Na taki życia zmrok!

„Pomimo gorzkich prób
 Zawsze, ach! dobrym bądź!
 Z miłością drugich sądz
 I patrz z nadzieją w grób,
 Nie zatrać dziecinnej wiary,
 Nie żałuj swojej ofiary,
 Pomimo gorzkich prób.

O, nie mów, dziecię me!
 Że marny życia trud,
 Że wszystko fałsz i brud
 A prawdą tylko złe;
 Że trzeba wątpić i szydzić
 Pogardzać i nienawidzić,
 O, nie mów, dziecię me!

Na matkę wspomnij swą,
Na miłość co bez plam,
Zwątpieniu zadaj kłam
I obmyj duszę łzą,
Wierz w piękność ducha słoneczną,
I w miłość która jest wieczną,
Na matkę wspomnij swą“.

Z podróży Dunajcem.

Już jasny księżyc na wodospadzie
Haftuje srebrem strumienia bieg,
I fala co się do snu nie kładzie,
Lekko potrąca o skalny brzeg!

Już ciemne lasy drzemią w oddali,
Szemrząc modlitwy wieczornej chór,
Dalekie echa głuchną na fali,
I we mgłach toną podnóża gór.

Łódkę do drogi strumień kołysze
I pianą rosi nadbrzeżne mchy,
Płynmy więc w ciemność i nocną ciszę,
W krainę cudów, marzeń i mgły.

Głowę swą oprzyj na mem ramieniu,
I do księżycą obróć swą twarz,
I oświecona w bladym promieniu
O widmie szczęścia dumaj i marz!

Ja będę śledził na twojej twarzy
 Przelotnych marzeń ruchomą nić,
 I będę myślał: „Jak pięknie marzy“...
 I zwolna zacznę o tobie śnić.

A tak cię sen mój sercem odmieni,
 Że mi wykwitniesz jak biały kwiat,
 Pełen miesięcznych, drżących promieni,
 Rzucony ze mną w fantazyi świat.

I będę mniemał wtenczas wpółseny,
 Ze na twych marzeń tęczowem tle
 Widzę uczucia odblask promienny,
 Płynący ku mnie na srebrnej mgle...

A kiedy jeszcze fala zdradziecka
 O kamień naszą potrafi łódź,
 To ty z przestachu trwożnego dziecka
 Na mnie wzruszone spojrzenie rzuć!

I do mnie bliżej pochyl się cała
 I ujmij silniej braterską dłoń,
 Ja będę myślał, żeś ty zadrżała,
 W mojego serca spojrzawszy toń...

A kiedy dalej wypłyniem zwolna
 Na wód leniwych spokojny szlak,
 Może pomyślę, żeś kochać zdolna
 I że mi leżkę rzucasz na znak!

Więc płynąc znowu w girlandach piany,
Co się roztrąca o progi skał,
Wyszepnę przez sen: „Żem zakochany
I żem ci serce na wieki dał“.

Tak rozmarzeni oboje ciszą,
Pijąc tęsknotę i nocny chłód,
Wymienim słowa, które usłyszą
Fale i duchy leniwych wód;

I w księżycowych blasku promieni,
Rwąc kwiaty marzeń na srebrnej mgle,
Uwierzym, żeśmy sercem złączeni
W pierwszej miłości rozkosznym śnie.

Lecz gdy przybijem wreszcie do brzegu,
Rzucając miejsce czarownych scen,
Wtenczas o dobrym myśląc noclegu,
Poznamy wkrótce, że to był sen.

Marzenie poranne.

Siedziała w ogrodzie w pół świetle, w pół cieniu,
Przy blasku wschodzącej jutrzeńki,
Wśród ciszy porannej oddana marzeniu,
Słuchając słowika piosenki

Marzyła o szczęściu, miłości — tak trocha,
Bo o czemże możnaby innem?
Wszak każda dziewczyna choć jeszcze nie kocha,
Marzeniem się bawi niewinnem.

Tęsknota, niepokój i dziwne żądania
Nieznanych a słodkich upojeń,
Budziły w jej sercu odblaskiem świtania
Girlandy tęczowych urojeń,

I piła skwapliwie te wonie, te fale
Powietrza co pierś jej wznosiły,
I mocniej błyszczały jej ustek korale
I żywiej się oczy paliły.

Patrzała na kwiaty co jasne z uśmiechem
 Skłaniały kielichy miłośnie,
 I dzieląc się wonnym rozkoszy oddechem,
 Szeptaly o szczęściu i wiosnie.

Widziała konwalia dziewczą, jak drżała,
 Łzy lejąc z drobnego kielicha
 W objęciach wietrzyka, a choć tak nieśmiała,
 Jednakże coś pragnie i wzdycha;

A dalej narcyzy tak piękne, urocze...
 Że muszą samotne pozostać,
 Więc główki zwiesiły nad wody przeźrocze
 Ścigając odbitą w niej postać.

Tam znowu fiołki kryjące się w trawie,
 Tak dobrze tej cichej rodzinie!
 Nie myśli o próżnej wielkości i sławie,
 Lecz żyje dla siebie jedynie.

Tak marząc o kwiatkach i tonąc w marzeniach,
 Oparła na rękę swą głowę,
 I chmurki śledziła w słonecznych promieniach
 To srebrne, to znowu różowe.

Wtem widzi zdziwiona: że z słońca promieni
 W jej oczach gmach staje złoisty,
 Z kopułą szafirów, z ścianami z zieleni,
 A cały jak kryształ przejrzysty.

Kolumny — to palmy splecione w arkady
 Przez liany i bluszcze wiszące,
 Schodami — srebrzyste ściekają kaskady,
 Posadzką — mozaiki kwitnące,

I widzi strwożona, jak kwiatów kielichy
 Ludzkiemi ją mierzą oczami,
 I widzi rój sylfów skrzydlaty i cichy --
 Jak igra w powietrzu z tęczkami.

A jeden z narcyzów rosami wilgotny
 W pięknego młodzieńca się zmienia,
 Lecz skrzydeł nie dostał i usiadł samotny
 Nad brzegiem srebrnego strumienia;

I widzi wzruszona, jak wiatrom się skarży:
 Że nie ma na świecie nikogo...
 I słyszy westchnienia i w myślach się waży,
 A tak jej smutno i błogo.

Nad litość nic niema na ziemi świętszego,
 Więc litość skłoniła dziewczynę,
 Że wstała powoli i poszła do niego
 Zapytać o smutku przyczynę.

Słyszała jak przez sen wyrazy namiętne,
 Co śpiewem pieściły ją echem,
 I oczy widziała tak piękne a smętne,
 Że odejść byłoby, ach! grzechem.

Słyszała jak mówił: „Ty jesteś wybraną
 „By nowe ukazać mi życie,
 „I duszę na wieczną tęsknotę skazaną
 W niebiańskim pogrążyć zachwycie.

„Ty jedna! ach! możesz, na ziemi ty jedna!
 Otworzyć mi nieba podwoje,
 „Twa miłość nam władzę cudowną wyjedna,
 „I skrzydła dostaniem oboje“.

To wszystko słyszała jak w sennem marzeniu —
 I uciec i zostaćby chciała,
 Aż wreszcie uległa słodkiemu wzruszeniu
 I rękę nieśmiało podała.

Podawała — i nagle spostrzegła z podziwem,
 Że lecą oboje dłoń w dłoń,
 Złączeni swych skrzydeł tęczowem ogniwem
 W obłoku jasności i woni.

A wszystko się przed nią roztapia w blask słońca,
 Piers samą oddycha rozkoszą,
 Kraina cudowna, bez końca — bez końca,
 A skrzydła ją w górę unoszą;

I płyną wciąż razem w błękitne etery
 Po szlakach przestrzeni gwiazdzistych,
 A pieśni — nadziemskie śpiewają im sfery
 O ducha pragnieniach wieczystych.

Więc czuje: że serce wyrywa się z łona,
 Że nadmiar uczucia pierś tłoczy,
 Wśród jasnych błękitów, gwiazd złotych stęsknio-
 Na niego podniosła swe oczy. [na —

I wzrokiem spoczęła w młodzieńca spojrzeniu,
 Co ognia płynęło falami,
 I w sennej ekstazy bezbrzeżnem pragnieniu
 Ust jego dotknęła ustami.

Wtem wszystko przepada... i widzi, o dziwy —
 Świat jasnych urojeń znikniony!
 I siebie zmienioną w krzak brzydkiej pokrzywy,
 A młodzian stał w oset zmieniony.

W rozpaczy i wstydzie chce płakać — nie zdoła,
 Cóż będzie nieszczęsna robiła?
 Wtem słyszy z radością, że matka ją woła
 I nagle się ze snu zbudziła —

I poszła zapytać do matki, co znaczy
 Sen dziwny o takiej przygodzie?
 A matka z uśmiechem swej córce tłumaczy,
 Że marzyć nie trzeba w ogrodzie.

Do...

Przekleństwa synu! co Kaina piętnem
Straszysz w dzień biały Chrystusową trzodę,
Przybywaj do mnie! w uciśnieniu smętnem
Znajdziesz dla siebie gorycz i ochłodę,
Znanyś mi zdawna, gdy życiem namiętnem
Przyniosłeś duszy swojej wieczną szkodę,
Rzuciwszy cnoty gościniec utarty
I do bram niebios biegnąc i odparty.

Lepiej ci było wraz z bracią Ablową
Przeżuwać życie na pokory zębem,
Kochać na rozkaz i wierzyć na słowo,
Pałac na stosie ofiarnym gołębie;
Niżli do boju stanąwszy z Jehową,
Przeglądać bytu i nicestwa głębie,
Nie byłbyś nosił fatalnej pieczęci,
Na którą z wstrętem patrzą wniebowzięci!

Lecz tem, czem jesteś skazany na piekło!
 Tem cię mieć pragnę! gościu mój posępny,
 Bo jakieś echo podziemne mi rzekło:
 Że los nasz jeden, że i ja występny,
 Czemu tem bardziej wierzyć teraz muszę,
 Gdy jasne niebo z piersi mej uciekło,
 I sam zostałem nieprzystępny skrusze,
 A tylko jednej rozpaczy przystępny.

Razem więc z tobą synu potępienia,
 Nad Babilonu wodami usiedziem,
 A nieśmiertelni wielkością zwątpienia,
 Z swej piersi głosu straszego dobędziem;
 Z Prometeuszów wiecznością cierpienia,
 I z sępem żądz, męczarni narzędziem,
 W własnej niemocy skowani łańcuchy,
 Zostaniem bratnie dwa stracone duchy!

Lecz nim utoniem w niepamięci fali
 Przed okiem ludzi skryci w obłok czarny,
 Niech ich pieśń nasza gromem wstydu spali;
 Że w nikczemności pędząc żywot marny,
 Płazowe szczęście nie wielkość obrali,
 Niech ich ród szczęsny, cierpliwy i karny,
 Z pokorą znosi losów wyrok twardy,
 My im zapłaćmy jałmużną pogardy...

Nadgrobek.

Nawchwilę nad krwawym zblakany zagonem,
Wracam z pola znużony drogą nadpowietrzną
Z próżnemi dłońmi, z sercem rozżalonym,
Kończąc wędrówkę marną choć konieczną,
I w tył się zimną twarzą nie odwrócę,
Bo obojętnem jest mi to — co rzucę.

Nigdy się z ciemnych krain nie wychylił,
Ani rzeczywistości nie dotknąłem ręką,
Próżnom się stworzyć sferę życia silił,
Sen mi był życiem, przebudzenie męką,
I zza obłoków chyląc się niechętnie
Patrzałem na świat łzawo choć namiętnie;

I nigdy w nikim nie znalazł oparcia,
Coby podzielił ze mną gorycz próżnych chęci;
Więc sam zostałem zawsze podczas starcia,
Bezsilność nosząc w cielesnej pieczęci,
I choć bojowych uniknąłem skażeń,
Zostałem za to bez plonu i wrażeń.

I nigdy usty nie dotknął drżącemi
 Ust drugich, coby w serce miłość ziemską lały,
 Senne mnie tylko widma kołysały,
 I dziś me serce złożą do podziemi,
 Gdzie rozsypane w proch śnić jeszcze będzie:
 Że nad niem płaczą dziewicze łabędzie.

Ta czystość, grobu nimfom poślubiona,
 Dała mej mglistej duszy święteczną pogodę,
 I melancholii łagodnej zasłona
 Spadła na dziwną narcyzów urodę,
 Co nie znalazłszy nic dla siebie w życiu,
 We własnem musi utonąć odbiciu.

W wiązance wspomnień, zbieranych starannie,
 Nic nie przeżyje chwilą jutra mej mogiły,
 Błyszczałem rosą uczuć nieustannie,
 Lecz i tę ptaki niebieskie wypily,
 I tyle tylko pozostanie śladu,
 Co po tych perłach, startych piersią gadu.

Ani opróżnię miejsca wśród gromady,
 Choć zniknie cieniu mego przezroczyista białość,
 Nie pójdę błędzić po księżycu blady,
 I od zbudzenia zbawi mnie ospałość,
 I głuche nawet echa nie powtórzą,
 Żem się już ukrył przed boleści burzą.

Zmarłej dziewczycy.

Zasnęła cicho i nic jej nie zbudzi,
Ani płacz siostry, ani matki łkanie,
Ani gwar obcych a ciekawych ludzi,
Co otoczyli śmiertelne posłanie,
Już jej dosięgnąć boleść nie jest w stanie
Zasnęła cicho i nic jej nie zbudzi.

Na zawsze swoje zamknęła powieki,
Spokojna, blada, smutna narzeczona
Anioła, co ją poślubił na wieki;
Jakoby w jasny posąg zamieniona,
Zaziemskich widzeń jasnością olśniona
Na zawsze swoje zamknęła powieki.

Ostatni uśmiech wykwił na jej twarzy,
A obok niego dziwne zamyślenie;
Jeszcze się może nad jej kształtem waży
Zbiegłego życia rozwiane marzenie,
Więc choć ją wieczność ubrała w milczenie
Ostatni uśmiech wykwił na jej twarzy.

Z rozbitej czary idealnych marzeń
 Piła zaledwie woń kwiatów wiosenną,
 Od rozczarowań wolna i od skażeń
 Rzuciła czarę pod urnę kamienną,
 I w sferę duchów wzlatuje promienną
 Z rozbitej czary idealnych marzeń.

Rozmłowana w nieśmiertelnem pięknie,
 Ukolysana pieśnią tajemniczą,
 Ani się grobu ciemności ulęknie,
 Ani zatęskni za życia goryczą,
 Ale uwieczni swą piękność dziewiczą,
 Rozmłowana w nieśmiertelnem pięknie.

Mistrzowstwo śmierci i śmierci potęga,
 Białego kwiatu utrwaliły białość —
 Co życie w biegu niszczy i rozprzęga,
 To śmierć obleka w harmonijną całość,
 I nieskalaną daje doskonałość,
 Mistrzowstwo śmierci i śmierci potęga!

W wiecznej pogodzie i w wiecznym spokoju
 Zakwita róża mistyczna zachwyty;
 Znikome kształty padły w życia boju,
 Lecz to co boskie na fali błękitu
 Wraca panować nad zmiennością bytu,
 W wiecznej pogodzie i w wiecznym pokoju.

Endymion.

Błada Selene w błękity rzucona,
Do drzemiącego wiecznie Endymiona
Co noc miłośnie wyciąga ramiona —

I czoło w srebrne ubiera promienie,
Kładąc na ustach senne pozdrowienie
I pocałunku wiecznego milczenie.

I ten cień cichy umarłych pasterza,
Nieprzebudzony w uściskach kochanki,
Co noc się nową młodością odświeża,
I we mgłach tonie w różane poranki.

A przechylony w rozkosznem wygięciu,
Z wieczną pięknością, co mu z twarzy świeci,
Spoczywa cicho u lubej w objęciu,
I z nią w zachwytów nieskończoność leci,

I tak przez wieki pojąc się zachwytem,
 Spleciony smutnej ogniwnem miłości,
 Grobów legendą jest i rajskim mytem,
 Co zaświatowe rozjaśnia ciemności.

O! wieczność taką zyskać sobie senną,
 Z takim aniołem, co życia nie budzi,
 Lecz tylko duszę kołysze promienną,
 I łzami czoło rozpalone studzi,

I być strażnikiem grobów, które proszą
 O łzy i miłość i być tylko cieniem,
 Którego skrzydła anielskie unoszą
 Między nicością a grobów marzeniem,

To warto drugą wiecznością boleści
 Kupić ją sobie i z ducha pogodą,
 Za żywot, co się już w piersiach nie mieści,
 Wziąć nieśmiertelność marzeń wiecznie młodą.

Za tym więc pójdę snem i za tem niczem,
 Tonąć w objęciu słodkiem i dziewiczem,
 Co grób osłania życiem tajemniczem,

I ta miłości pełna i stęskniona
 Do mnie nowego zstąpi Endymiona,
 I pocałunkiem czas mi zamknie — ona!

Rada.

Utraciłeś, mówisz, spokój
I moralną równowagę
Dla dziewczęcia pięknych oczu,
Biedny chłopcze, miej odwagę!
Sam najlepiej zawyrokuj,
Czyto warto żyć spokojnie?
W mglistych, czystych snów przeźroczu
Kapać duszę bogoboju nie?

Nigdy czoła nie zachmurzyć,
I nie doznać serca bicia,
Żyć bez szaleństw, pragnień, wzruszeń
Pozorami mdłego życia? . . .
Lepiej, że się zacznie burzyć
Niepokojem pierś twa młoda;
Tęcza tęsknot, żądz, pokuszeń
Nowych blasków tobie doda!

Na twe troski znajdziem radę,
 Tylko śmiało patrz jej w oczy,
 Niech ten płomień, co z nich bucha,
 Falą ognia cię otoczy,
 A gdy w wzroku dojrzysz zdradę,
 Gdy tęsknota wzrośnie w łonie,
 Chcąc odzyskać spokój ducha —
 Weź i ścisnij drobne dłonie!

Jeśli za to się obruszy,
 I gdy twarz jej dotąd biała
 Opromieni się różowo,
 I gdy pierś jej będzie drżała —
 Wtedy ratuj spokój duszy!
 Uratujesz, jak Bóg w niebie,
 Gdy wymówisz słodkie słowo:
 — O najdroższa! Kocham ciebie!...

Jednak, jednak być to może,
 Że ucieknie zapłoniona,
 Na ucieczkę ty nie zważaj,
 Bo powróci jeszcze ona!
 Że powróci głowę łożę,
 Więc ty tylko bądź wytrwały,
 Pierwszą próbą się nie zrażaj,
 Bądź namiętny, tkliwy, śmiały.

I choć będziesz cierpiał, marzył,
Choć się ogniem pierś zapali,
Spokojności, ach! nie żałuj,
Lecz się jeszcze posuń dalej.
Gdy się będziesz przed nią skarżył,
A ta śmiać się będzie pusta —
Weź za rączkę i pocałuj,
Lecz pocałuj — w same usta!...

Szkoda!

Szkoda kwiatów, które więdną
W ustroni
I nikt nie zna ich barw świeżych
I woni,
Szkoda pereł które leżą
W mórz toni;
Szkoda uczuć, które młodość
Roztrwoni.
Szkoda marzeń, co się w ciemność
Rozproszą,
Szkoda ofiar, które nie są
Rozkoszą;
Szkoda pragnień co nie mogą
Wybuchać,
Szkoda piosnek, których nie ma
Kto słuchać;
Szkoda męstwa, gdy nie przyjdzie
Do starcia,
I serc szkoda, co nie mają
Oparcia.

Gdybym był młodszy...

Gdybym był młodszy, dziewczyno,
Gdybym był młodszy!
Piłbym, ach, wtenczas nie wino,
Lecz spojrzeń twoich najśłodszy
Nektar, dziewczyno!

Tybyś mnie może kochała,
Jasny aniele...
Na tę myśl pierś mi zadrżała,
Bo widzę szczęścia zawiele,
Gdybyś kochała!

Gwiazdbym nie szukał na niebie,
Ani miesiąca,
Alebym patrzył na ciebie,
Boś więcej promieniejąca,
Od gwiazd na niebie!

Wzgardziłbym słońca jasnością
I wiosny tchnieniem,
A żyłbym twoją miłością,
Boś ty jest mojem natchnieniem
I słońce jasnością.

Ale już jestem za stary,
Bym mógł, dziewczeczko,
Zażądać serca ofiary,
Więc bawię tylko piosneczką,
Bom już za stary!

Uciekam od ciebie zdala,
Motylu złoty!
Bo duma mi nie pozwala
Cierpieć, więc pełen tęsknoty,
Uciekam zdala.

Śmieję się i piję wino
Mieszane z łzami,
I patrzę, piękna dziewczyno,
W swą przeszłość pokrytą mgłami,
I piję wino...

Karmelkowy wiersz.

Bywało dawniej, przed laty,
Sypałem wiersze i kwiaty
Wszystkim dziewczątkom,
Bom myślał, o piękne panie,
Że kwiat lub słowo zostanie
Dla was pamiątką.

Wierzyłem — zwyczajnie młody,
Że jeszcze nie wyszło z mody
Myśleć i czuć,
Że trocha serca kobiecie,
Świetnej karyery na świecie
Nie może psuć.

Aniołków brałem na seryo,
I z śmieszną Don-Kiszoteryą
Wielbiłem lalki,
I gotów byłem, o zgrozo,
Za Dulcyneę z Tobozo
Stanąć do walki!

Lecz dziś komedya salonu
Jak człowiek dobrego tonu
Nawylot znam,
Z serca pożytek nie wielki,
Więc mam w zapasie karmelki
Dla dam.

W albumie.

Niedys mi serce wzięła, niech ci służy
Jako rozbite muzyczne narzędzie,
Ręka twa śpiewne zeń tony dobędzie
I życie nowym akordem przedłuży,
Co przeniesiony w zagrobowe świty
Falą harmonii przepelni błękity.

Niechaj nie zadrży myśl twa ani ręka,
Sądząc że próżno w boleściach się łamie,
Nadzieją szczęścia los go nie okłamię,
Ani go rajska nie zbawi jutrzienka,
Lecz gdy się krwi swej rubinem obleje,
Wdzięczne jak róża cmentarza jaśnieje.

Niechaj ta chwila, co mu jeszcze dłużna
Kilka jaśniejszych natchnień i wybuchów —
Przejdzie wśród walki tytanicznych duchów,
A nie jak z niebios rzucona jałmużna;
Niech się przystroi w swe świąteczne szaty,
Wienieczone ręką posępnej Hekaty.

Jeśli cię straszy ten dźwięk, co ulany
Z ostatniej myśli, która w grobach żyje —
Rzuć! niech się w ciche popioły zaryje,
Jak liść jesienny wichrami zagnany,
I wzrok zatrzymuj chwilę na popiołach,
A może wieczność prześni o aniołach!

Anakreontyk.

Nie szczędź mi rajskich rozkoszy!
Różanych ustek nie żałuj!
Zanim się dzika myśl spłoszy,
Niebieska! ty swoim wzrokiem
Zalej mnie blasków potokiem,
Bez końca pieść mnie i całuj!

Odpędzę widziadła wstrętne,
Ze śmiercią hardo się zmierzę,
Gdy w pocałunki namiętne
Roztopię duchową dzielność,
W rozkoszy tych nieśmiertelność
W tę jednę, ach! tylko wierzę.

Przed twym ożywczym płomieniem
Dusza ma kielich otwiera,
Rozkwita z dziewiczem drzeniem
W światel i woni obłoku,
W twych ustach i w twoim wzroku
Znajdując wieczność — umiera.

Eros zawstydzi się blady
Przed moich pragnień pożarem,
Wśród sennej życia biesiady
Pijąc nadziemskie słodycze —
Wszystkie łzy twoje przeliczę
Dobyte szczęścia nadmiarem.

A gdy się strawi doszczętnie
To życie nic już niewarte,
W ostatniej chwili, namiętnie —
Na twojem oparty łonie —
W nowe się blaski przesłonię,
Patrząc w twe oczy otwarte.

Na pamiątkę.

Na pamiątkę, żem chwil kilka
Żył w czarownych marzeń kole,
Że z nich jedna, jedna chwilka —
Zostawiła wspomnień pole,
Na pamiątkę, cóż zostanie?

Na pamiątkę, żem przez ciernie
Drogi życia przeszedł wiernie,
I bez skargi jak przez róże,
Że nie zgięły mego czoła
Żadne wichry, żadne burze,
Na pamiątkę, cóż zostanie?

Na pamiątkę natchnień rzewnych,
Com piastował w swojej duszy,
I tych kilku dźwięków śpiewnych,
Co wiatr uniósł i przygłuszy,
Na pamiątkę łez ukrytych,
Ideałów niezdobytych,
Na pamiątkę, cóż zostanie?

Jedna chwila.

Zobaczyłem ją tylko na chwilę,
I już pewnie nie ujrzę jej więcej —
Dziwny los,
W moich piersiach wstało pragnień tyle,
Moje serce zabiło goręcej
Na jej głos.

A jednakże zostanę nieznany,
Nie wywołam żadnego wspomnienia
Ani łzy,
I niewidząc czy byłbym kochany,
Nieziszczone uniosę pragnienia,
Próżne sny.

Gdym ją ujrzał, myślałem że ona
Przyjdzie do mnie, z anielskim spojrzeniem
Zwróci twarz,
I wyciągnie ku mnie swe ramiona
Mówiąc: „Jestem twojem przeznaczeniem
Wszak mnie znasz?“

Różne łyzy.

Szedłem gajem samotny i cichy,
I spotkałem dziewicę nadobną,
Ta łyzy lała na kwiatów kielichy
I twarz miała jak Niobe żalobną.
Jej westchnienia z lekkim wiatru drżeniem
W jedną falę spływały harmonii.
I w powietrzu mieszały się z tchnieniem
Wonnych mirtów, jaśminów, lewkonij.

Łez widokiem wzruszony, co cieką,
Zapytałem dlaczego się smuci,
Na to rzekła: „Odjechał daleko,
I nie wraca, i może nie wróci.“
Te wyrazy tak proste i smętne
Ostrzem noża utkwily w mem sercu,
I tłumilem pragnienia namiętne
Idąc dalej po łąki kobiercu.

I usiadłem nad morzem samotny
Wyklinając me życie tułacze,
I lży lałem na piasek wilgotny,
Że już teraz nikt za mną nie płacze...
Me westchnienia przygłuszył szum fali,
Serce moje pękało z żałości,
Myśl za morze popłynęła dalej,
I zostałem jako głaz w ciemności.

Serenada.

Patrz! oto wiosna znów,
Najśodsze niesie ci tchnienia,
I czoło twoje ocienia
Więcem kwitnących bzów;
Czy czujesz w niemym zachwycie
Wdzięk nowy i nowe życie?
O luba mów!

Czy czujesz dziwne pragnienia,
Ożywczy powiew płomienia,
Urok niebieskich snów!
Czy czujesz tę woń w błękicie,
Co serca przyspiesza bicie,
O luba mów!

Słyszysz miłości śpiew?
Słyszysz jak wietrzyk szeleści,
Kwiaty całuje i pieści,
Igrając pośród drzew?
Słyszysz? w tej cichej godzinie
Harmonią, co w serca płynie
Z nadziemskich stref,

I kojąc ludzkie boleści,
 Przynosi w sennej powieści
 Najtkliwszych uczuć siew.
 Słyszysz jak skryty w jaśminie
 Słowik wygłasza jedynie
 Miłości śpiew?

Czy widzisz światła rzut?
 Który w błękitów przestrzeni
 Wśród nocy niebo rumieni,
 Zwiastując słońca wschód.
 Czy widzisz? widzisz — tam w dali
 Jak księżyc igra na fali
 Spokojnych wód?
 Czy widzisz w blasku promieni,
 W grze światła i lekkich cieni,
 Wiecznej piękności cud?
 Czy serca twego nie pali
 Płynący w wianku koralu
 Jutrzenki wschód?

Jeżeli w sercu twem
 To wszystko słyszysz i czujesz,
 Jeżeli rozkosz zgadujesz
 Co świat ożywia tchem,
 Jeśli twe usta różane
 Gonią pragnieniem owiane
 Za jakim snem,

Jeśli się w niebo wpatrujesz,
I wonne kwiaty całujesz
Z wzruszeniem walcząc swem,
Zejdź do mnie, dziewczę kochane,
Kończyć marzenia wiosniane
Na sercu mem.

Sonet.

Pierwsze uczucia, to kwiaty wiosenne!
Co się swą własną upajają wonią,
Przed żywszym blaskiem jeszcze w cień się chronią
I wierzą jeszcze w swe trwanie niezmienne.

Po nich, ach! inne stubarwne, płomiennie,
Znów zakwitają i za słońcem gonią,
Wiedzą, że zwiędną — więc czasu nie trwonią
I gaszą tylko pragnienia codzienne.

A później znowu wspomnień astry blade
Wschodzą samotne na schyłku jesieni,
I chcą trwać tylko, i walczą z ulewą,

Widząc wokoło martwość i zagładę —
A wkońcu jeden cyprys się zieleni,
Ponure, smutne rezygnacyi drzewo.

Sonet.

Jednego serca! tak mało! tak mało,
Jednego serca trzeba mi na ziemi!
Coby przy mojem miłością zadrżało,
A byłbym cichym pomiędzy cichemi.

Jednych ust trzeba! zkądbym wieczność całą
Pił napój szczęścia ustami mojemi,
I oczu dwoje, gdziebym patrzył śmiało,
Widząc się świętym pomiędzy świętami.

Jednego serca i rąk białych dwoje!
Coby mi oczy zasłoniły moje,
Bym zasnął słodko marząc o aniele,

Który mnie niesie w objęciach do nieba;
Jednego serca! tak mało mi trzeba,
A jednak widzę, że żądam zawiele!

Ach, jak mi smutno!

Ach, jak mi smutno! mój anioł mnie rzucił,
W daleki odbiegł świat,
I próżno wzywam, ażeby mi zwrócił
Zabrany marzeń kwiat.

Ach, jak mi smutno! cień mnie już otacza,
Posepny grobu cień,
Serce się jeszcze zrywa i rozpacza,
Szukając jasnych tchnień,
Ale napróżno uciszyć się lęka,
I próżno przeszłość oskarża rozrzutną...
Cięży już nad niem niewidzialna ręka —
Ach, jak mi smutno!

Dzień i noc.

Dzień ma swój uśmiech ponętny,
Błyszcząca weselem postać,
I ogień życia namiętny —
Więc chciałem przy nim pozostać...
Ale zkolei na straży,
Stoi noc pełna zazdrości,
Zdejmuje wesołość z twarzy,
I uśmiech ginie w ciemności...

Noc ma swój smutek niebieski,
Tęsknotę pragnień serdeczną,
Rozsiewa po kwiatach łezki,
Więc chciałem zrobić ją wieczną.
Lecz znowu jasność paląca,
Burzy gmach nocnych bławatów,
Urocze widma roztrąca,
I rosę wypija z kwiatów.

Ty masz dnia jasne oblicze,
Wdzięk nocy, co duszę pieści,
Twoje spojrzenie dziewicze,
Łzy razem i uśmiech mięci,
Chcąc zgodzić pragnienia sprzeczne,
Na żadną nie trafić zmianę
Przy tobie na czasy wieczne,
Przy tobie, luba, zostanę!

Nawrócenie.

Gdy miała szesnaście latek,
Była, ach! bardzo sceptyczną,
Nie chciała wierzyć gdym mówił,
 Że jest prześliczną!
Wątpiła o swej urodzie,
W uczucie wierzyć nie chciała,
Kiedym jej miłość wyznawał,
 Tylko się śmiała!

Lecz dzisiaj po latach wielu,
Wiara w jej serce wstąpiła,
I nawrócona zupełnie,
 Żałuje że wprzód wątpiła...
Ufna w potęgę miłości,
Wspomnienia pragnie odświeżyć,
Wierzy że jeszcze ją Kocham,
 Lecz ja — przestałem już wierzyć...

Niezręczny.

I.

Gdy ją raz pierwszy ujrzał w kobiet gronie,
Uczuł w swej duszy jakby światło nowe,
Zdawało mu się, że widmo tęczowe
Młodzieńczych marzeń podaje mu dłonie,

I zapatrzony w oczy szafirowe
Zaledwie zdołał skłonić przed nią głowę
Przy przedstawieniu, i wiedząc że płonie,
Onieśmielony stał jak żak w salonie.

Ona spostrzegłszy to jego zmieszanie,
Chciała przyjść w pomoc i pierwsza z uśmiechem
Zadała jakieś zwyczajne pytanie,

By odpowiedzieć zwrócił się z pośpiechem,
Lecz się w jej sukni zaplątał jedwabnej
I urwał kawał falbany — niezgrabny!

II.

Trudno uwierzyć! lecz taka przygoda
Zamiast mu szkodzić u pięknej kobiety,
Pomogła raczej — i nastąpiła zgoda
Pomiędzy sercem wdówki i poety;

I widywała się ta para młoda;
On jej przynosił do domu bukiety,
I wdychał ciągle, na co czasu szkoda,
I co go wreszcie zgubiło, niestety!

Siedział sam przy niej — żrenicą spragnioną
Tonął w jej oczach w niemem zachwyceniu —
Na twarz im padał srebrny blask miesięczny,

Więc ją mógł widzieć drżąca i wzruszona;
Ale w tem samym został oddaleniu —
Gdyż bał się suknię nadeptać — niezręczny!

Dwa spotkania.

Spotkałem go w młodości dniach —
W objęcia moje upadł on,
I rzekł mi: „Bracie, w wspólnych snach
Znajdziem zwycięstwo albo zgon!“

Spotkałem go po latach wielu,
Spotkałem na środku rynku,
W objęcia padł: „Ach przyjacielu“
Zawołał: „chodźmy do szynku!“

Na przedpieklu.

Raz mi tak żona dopiekła,
Żem się powiesił na górze;
Ciało zostało na sznurze,
A dusza poszła do piekła.
Stracona w otchłanie ciemne
Trzęsła się cała ze strachu,
Po siarki przykrym zapachu
Poznając państwo podziemne.

Zaledwie biedaczka dusza
Staęła w przepaści na dnie,
Gdy dziki Cerber wypadnie
Targać za poły kontusza:
I tak jął szarpać zdradziecko,
Ze gdym się bronić sposobił,
To on tymczasem już zrobił
Z kontusza tunikę grecką.

Więc w takim klasycznym stroju
 Ja, szlachcic i Podolanin,
 Szedłem, a duchy po kroju
 Mniemały, że jest poganin,
 Charon w łańcuchy mnie okuł
 I zawiódł na odwach prosto,
 Gdzie przed piekielnym starostą
 Spisywać trzeba protokół.

Na sądzie Eak zasiadał,
 Przy nim Rhdamant z Minosem;
 Spojrzeli na mnie ukosem,
 Żądając bym się spowiadał.
 Widząc że patrzę przed siebie,
 Nie wiedząc co mówić zgola,
 Rhadamant gniewny zawoła:
 — „Coś przyszedł robić w Erebie?
 „Jakie do niego masz prawo,
 „Jakie masz w piekle zasługi,
 „Czy szereg twych zbrodni długi
 „Występną okrył cię sławą?
 „Czyś może jako wódz srogi
 „Rozpuścił na świat swe hordy,
 „Siałeś pożogi i mordy
 „Wzywając do walki bogi?
 „Lub może jak Tytan nowy
 „Niebiosa pobiegłeś gwałcić,
 „I ziemię chciałeś przekształcić

„Niszcząc fatalizm duchowy!
 „Możesz być zemsty Orestem,
 „I w krwi swych bliskich się pławił?
 „No, powiedz, czemuś się wslawił?
 „Mordami? zdradą? incestem — ?“

Na to ja, szlachcie struchlały,
 Rzekłem: — Niech porwą mnie dyabli,
 Jeżeli dotknąłem szabli
 Przez życia mego wiek cały!
 Jestem człek prawy, zamożny...
 Moi piekielni panowie,
 Co wam też świta po głowie,
 Bym miał być taki bezbożny?!
 Żyłem przykładnie na roli
 Czysty przed ludźmi i Bogiem,
 Nikomu nie byłem wrogiem
 Strzegłem się wszelkiej swawoli;
 Gromiłem życie namiętne,
 Próżne marzenia postępu
 Nie miały do mnie przystępu,
 Doktryny były mi wstrętne.
 Nie gustowałem w poezyi,
 Pogańskich nie czciłem bogów,
 Strzegłem się ideologów
 I heroicznych herezji.
 Prowadząc życie w porządku,
 Nie miałem większej ambicyi,

Jak zostać... posłem w Galicyi,
 Gdzien słynął z swego rozsądku.
 Ale czart jakiś mnie zbiesił,
 Gdy mocniej zalałem głowę,
 Różne zgryzoty domowe
 Sprawily, żem się obwiesił.

Gdym skończył, wstał Minos straszny
 I rzekł: — „Co robić z tym fantem,
 „Z Beotem i obskurantem?
 „Dla piekła jest za rubaszny!“
 I tak po krótkich namowach,
 Wszyscy trzej mrużąc pod nosem,
 Rhadamant, Eak z Minosem
 Zawarli wyrok w tych słowach:
 „Idź jeszcze na ziemię, bracie,
 „Zająć się twojem rzemiosłem,
 „A będziesz wybrany posłem,
 „Zasiędzisz nawet w rajchsracie;
 „A kiedy już w delegacyi
 „Staniesz w obronie wolności,
 „Chcąc nam dochować wdzięczności,
 „Pamiętaj o propinacyi!
 „I nie trać nigdy nadziei,
 „Walcz śmiało na każdej sesyi:
 „Zdobędziesz dużo koncesyj...
 „Banków i nowych kolei.
 „Choćby kto za złe poczytał,

„Śmieję się! bo sprawa jest czysta,
„Wszakże kraj na tem skorzysta,
„Jeśli powiększysz kapitał.
„Pieczę się nie bój tem bardziej,
„Bądź tylko śmiało bezczelnym,
„Honorem ręcym piekielnym,
„Że piekło toba pogardzi.

SPIS RZECZY

tomu I.

| | Str. |
|-----------------------------------|------|
| Ach jak mi smutno! | 220 |
| Ach powiedz! | 120 |
| Anakreontyk | 217 |
| Anielskie chóry | 130 |
| Asceta | 43 |
| Aszera | 69 |
| Bez granic | 131 |
| Bławatek | 85 |
| Błąka się wichry w polu | 147 |
| Bodaj owa rzeczka | 149 |
| Chłopca mego mi zabrali | 152 |
| Czary | 156 |
| Do | 199 |
| Dwa spotkania | 235 |
| Dzwonki | 98 |
| Dziwny sen | 132 |
| Dzień i noc | 230 |
| Echo kołyski | 186 |
| Endymion | 205 |
| Fijołki | 105 |
| Gdy | 165 |
| Gdybym był młodszy | 211 |

| | |
|--|-----|
| Huczy woda po kamieniach | 146 |
| Idź dalej | 134 |
| Ja ciebie kocham! | 116 |
| Jedna chwila | 220 |
| Julian Apostata | 61 |
| Karmelkowy wiersz | 213 |
| Kłątwa | 145 |
| Kwiat paproci | 107 |
| Legenda pierwszej miłości | 53 |
| Lilie wodne | 95 |
| Marzenie poranne | 194 |
| Mirty | 102 |
| Między nami nic nie było | 111 |
| Myślałem że to sen | 138 |
| Na przedpieklu | 236 |
| Na śniegu | 135 |
| Nawrócenie | 232 |
| Na pamiątkę | 219 |
| Nadgrobek | 201 |
| Nie będę cię rwała | 150 |
| Niezręczny | 233 |
| Niezabudki kwiecie | 79 |
| Odłamowi Psychy Praxytelesa | 29 |
| Pan Jezus chodzi po świecie | 154 |
| Płaczącej | 130 |
| Posyłam kwiaty | 114 |
| Powój | 92 |
| Powrót piosenki | 125 |
| Pożegnalne słowo | 183 |
| Poezi do publiczności | 16 |
| Przykro, przykro jest dębowi | 160 |
| Publiczność do poetów | 8 |
| Rada | 207 |
| Rezygnacya | 123 |

| | Str. |
|-------------------------------------|------|
| Róża | 89 |
| Różne lzy | 222 |
| Serenada | 224 |
| Siwy koniu | 143 |
| Siedzi ptaszek na drzewie | 168 |
| Słonko | 174 |
| Sonet | 227 |
| Sonet | 228 |
| Sonet | 118 |
| Stokrotki | 89 |
| Szkoda | 210 |
| Szumi w gaju brzezina | 144 |
| Tęsknota | 129 |
| Ty czekaj mnie! | 122 |
| Uwielbienie | 137 |
| W albumie | 215 |
| W chacie | 170 |
| Wspomnienie | 179 |
| Zdradzieckie drzewo | 161 |
| Zmarłej dziewicy | 203 |
| Z podróży Dunajcem | 191 |
| Zwiędły listek | 112 |
| Zyczenie | 119 |

Biblioteka WSP Kielce



0179270